

# DAJĘ SŁOWO

[www.czasopismodajeslowo.pl](http://www.czasopismodajeslowo.pl)

NR 3 | LIPIEC-WRZESIEŃ 2023

## Niewidomi na wschód

M. Litwinow i M. Rogalski

Yasuke – prawdziwa  
historia legendy

Arkady Saulski

## WYWIADY

Dobrze Pojechane  
Marta Kirin

Olcha z Wilczej Doliny cz.3

Agaty Kasiak

powieść we fragmentach

Orient Express

Marta Kopacz

# SPIS SŁÓW

## SŁOWA NUMERU

- 6 **Niewidomi na wschód** – M. Litwinow i M. Rogalski
- 11 **Orient Express** – Marta Kopacz
- 26 **Nie tylko Chiny i Japonia – rozmowa z autorami książki *Zwrotnik Dzio-  
borożca o Azji południowo-wschodniej i azjatyckich inspiracjach w po-  
wieści przygodowej*** – Anna S. Cichosz
- 33 **Yasuke – prawdziwa historia legendy** – Arkady Saulski
- 37 **Olcha z Wilczej Doliny. Rozdział III Boginka** – Agata Kasiak
- 69 **Tybet jakiego nie znacie – wywiad z autorką Martą Kirin** – Kamila Gosz-  
czyńska
- 99 **Czy są nam potrzebne straszliwe matki? – krótkie rozważania nad  
książką *Cieszę się, że moja mama nie żyje* Jenette McCurdy** – Magda-  
lena Wolff

## SŁOWO OSOBISTE (felietony)

- 9 **Meandry mojej azjatyckiej przygody** – Zofia Brodzińska
- 63 **Nie pusta wydmuszka, lecz postać z krwi i kości** – Karolina Salwowska
- 116 **Screenshot na uspokojenie** – Michał Krawczyk

## WYSŁOWIONE (opowiadania)

- 79 **Jest również naszą córką** – Paweł Horyszny
- 94 **Podróż bez słów** – Agnieszka Kusiak
- 102 **Opowiadanie „Branka” – epizod z wojny ammonicko-izraelskiej w cza-  
sach biblijnych** – Piotr Borowski

## DOSŁOWNIE (recenzje)

- 35 **Dziecko w obliczu katastrofy jądrowej w Fukushima - recenzja książki  
RIKU i królestwo bieli Randy Taguchi** – Agnieszka Kusiak
- 76 **Pierwsza iskra. Szept ognia i popiołu, czyli debiut literacki Justeene  
Ruston** – Sylwia Gudyka
- 91 **Wnętrze nie ma nic wspólnego z wyobrażeniami – recenzja książki Su-  
chy Ganges Michała Jurczyńskiego** – Agnieszka Kusiak
- 112 **Co szepczą wilki w skalnym plesie? – recenzja historii miłosnej autor-  
stwa Aliny Duchnowskiej** – Patrycja Prusak

## ODMIERZONE SŁOWAMI (feliety podróznicze)

23 **Orient – tak. Express – niekoniecznie** – Mariusz Łapiński

59 **Давай Полюс, поиграем в дурака (Dawaj Polak, zagramy w duraka)** –  
Mateusz M.R. Rogalski

66 **Tybet** – Marta Kirin

## SŁOWA DOBRANE (wiersze/drabble)

22 **Na zawsze** – Stella M. Sit

## SŁOWNIK AUTORÓW (porady dla pisarzy)

118 **Pokochaj redaktora – odcinek 2** – Janusz Muzyczyszyn



# SAMOWYDAWCY.pl

### ADRES REDAKCJI

Ul. Gimnazjalna 10c/21,  
55-011 Siechnice  
tel. 696 071 318

redakcja.dajeslowo@gmail.com

### REDAKTOR NACZELNY

Mateusz Rogalski

### ZESPÓŁ

Izabela Redesiuk  
Anna Strzelczyk-Cichosz  
Janusz Muzyczyszyn

### ZASTĘPCZYNI

### REDAKTORA NACZELNEGO

Monika Litwinow

### REDAKCJA I KOREKTA

Jagoda Biszkont  
Katarzyna Mróz-Jaskuła  
Alicja Szalska-Radomska  
Anna Michalik-Czarnecka  
Edyta Patrzalek

### SKŁAD I ŁAMANIE

Magdalena Gumowska

### PROJEKT OKŁADKI

D.B. Foryś

### ZDJĘCIE NA OKŁADCE

Svetlana Gumerova

PRENUMERATA [www.czasopismodajeslowo.pl](http://www.czasopismodajeslowo.pl)

# Na Zachodzie bez zmian... te idą ze wschodu

Tak, to już trzeci numer „Daję Słowo” z dodatkiem „Daję Słówko”, które oddajemy w Wasze ręce. Niezmiennie pełni pozytywnej energii i chęci stworzenia czegoś, po co z przyjemnością będziecie sięgać. Wszelkie informacje zwrotne, jakie do nas docierają na temat poprzednich dwóch numerów, pozwalają nam uważać, że tak też się dzieje. Świadczy o tym również wsparcie od osób, które zechciały objąć nas swoim patronatem na Patronite, do czego i Was szczerze zachęcamy.

Nie będę ukrywał, że motyw przewodni tego numeru jest moim pomysłem i leży bardzo blisko memu sercu. Jeszcze do lutego 2022 roku byłem wielkim rusofilem. Wynikało to zarówno z mojego uwielbienia do melodyjności języka rosyjskiego jak i mych korzeni od strony mamy, której babcia urodziła się we wsi Prudy w powiecie Naliboki. Szczytem mego zamiłowanie była samodzielna wyprawa na motorze w 2012 roku, kiedy to w pojedynkę przejechałem wszerz największe państwo świata. Niestety, od roku 2022 nic już nie będzie takie samo.

Cały Zachód, a my Polacy w szczególności, uważa, że większość zła, jakie panoszy się po tym świecie wylęga się na Wschodzie, zarówno tym bliższym jak i dalszym. Zapominamy, że to właśnie Wschód dał nam pismo, cyfry, kompas, proch, papier i oczywiście druk – zastanówcie się, jak wiele z tych wynalazków zostało „powtórnie wynalezione” przez Europejczyków tysiące lat później. A zatem jak to możliwe, że kraje tak wysoko rozwinięte zamieniły się w siedlisko ludzi dzikich i żądnych naszej krwi? I czy na pewno tak właśnie się stało?

Parafrazując pewien cytat, stwierdzam:

We Wschód wierzę. Natomiast nie bardzo wierzę w to, co ludzie o nim mówią.

Osobiście uważam, że kultura wschodnia od lat systematycznie podbija Zachód. Mam na myśli filmy powstające w Bollywood, tureckie i koreańskie seriale, koreański k-pop, japońskie anime. Początkowo ich inność śmieszyła, co nie pozwalało nam brać ich na poważnie. Jednakże najwyraźniej znudziłyśmy się już wciąż powtarzaną fabułą z przewidywalnymi zwrotami akcji. Męczy nas „oryginalność” sztampowych bohaterów. Nie interesują na nowo pokolorowane *remaki*. Właśnie dlatego odmiennosc orientalnych dorobków kultury od zalewającej nas zewsząd papki z Zachodu obecnie przestała śmieszyć, a stała się dla wielu wręcz atrakcyjna i pociągająca. Zrzucamy bariery umysłów ścisłych, przywiązanych do frazy: „podobają się melodie, które już raz słyszeli”. Chcemy czegoś innego, nieznanego, świeżego.

A zatem, wychodząc tym potrzebom naprzeciw, Daję Słowo i Daję Słówko, że czeka Was niezapomniana literacka podróż w naszym Orient Expresie.

*Bożalski*

Prabucki Litwinow



wydaje mi się

PODCAST



SAMOWYDAWCY.pl

# Niewidomi na Wschód?

Monika Litwinow  
Mateusz R.M. Rogalski

Monika Litwinow: Kiedy myślę o literaturze ze Wschodu, zarówno Bliskiego, jak i Dalekiego pierwsze moje skojarzenia związane są z Mistrzem i *Małgorzatą*, *Baśniami z Tysiąca i Jednej Nocy*, baśniami japońskimi, w których akurat zaczytuję się dzięki literackim zainteresowaniom pedagogicznym i, czy mi się to podoba, czy nie, *Dziewczynami z Dubaju*. Z drugim oddechem myślę o wszystkich książkach, mówiących o sytuacji społecznej kobiet w krajach muzułmańskich, o walce o wolność tam, gdzie wojny trawią państwa od dekad, o wszystkim, co się wysypało na temat terroryzmu po zamachach 11 września. Przy trzecim jest już nieco lżej. Komiksy, anime i manga oraz *Wyznania Gejszy*, sztandarowy przykład współczesnej fascynacji orientalizmem i kulturą Dalekiego Wschodu w wykonaniu amerykańskich (jak w tym przypadku) i europejskich pisarzy.

Mateusz Rogalski: Zauważ, że pierwsze Twoje skojarzenia, prócz książki Piotra Krysiaka z 2018 roku, to wspomnienia związane z literaturą poznaną w szkole, przez lektury. W późniejszych etapach swojego życia nie masz styczności z literaturą Wschodu, o ile sama

się nią nie zainteresujesz. Fala zachodniej popkultury jest jak kolorowa flara, w którą jesteś wpatrzona i zagubiona w jej dławiącym dymie. Jej różnorodność i wielość jest rozdmuchiwana przez „wielkie amerykańskie koncerny”, które celowo przysyłają wszystko inne. Gdybym sam nie był zainteresowany książkami napisanymi na podstawie sesji RPG, nigdy bym nie trafił na Wasilija Machanienko i jego *Drogę Szamana*, a to naprawdę znakomite książki. Niestety, tak jak większości dobrych rzeczy ze Wschodu, tak i tym z naszego rodzimego podwórka, brakuje pieniędzy na reklamę pozwalającą przebić się przez kolorową flarę.

ML: Kulturoznawcy podkreślają, iż kontynent azjatycki od tysięcy lat przyciągał i fascynował ludzi Zachodu, tym bardziej, że zachował swoją odmienność kulturową, wbrew dynamicznej globalizacji, amerykanizacji czy kultywacji modelu zachodniego stylu życia. Polska, wbrew staraniom niektórych partii politycznych, również zmierza w tym kierunku, szybciej lub wolniej. Przywykliśmy więc do uniwersalnego „segregowania” literatury: obyczajowa, thriller i kryminał, fantasy i sci-fi, literatura dla

dzieci, young adult, biografie, reportaże, literatura podróżnicza, polityka, literatura piękna, komiksy i tak dalej. Co się natomiast dzieje z literaturą na Wschodzie? Czy w ogóle jest? Dlaczego jej nie dostrzegamy? Czy nie jest dla nas interesująca? Może nie odpowiadają nam jej wartości? Gdzie jej w ogóle szukać?

MR: Całkowicie zgadzam się ze wspomnianymi kulturoznawcami. Mnie swojego czasu nazywano „rusofilem”, gdyż byłem zafascynowany Rosją i całą jej kulturą. Do tego stopnia, iż spakowałem plecak, wsiadłem na motor i zwiedziłem ją od zachodu na wschód w dwa miesiące. Z doświadczenia wiem, że głównym problemem w kontakcie jest bariera językowa i to ona blokuje nam poznanie kultury całego kontynentu azjatyckiego. Dzieci w Polsce od trzeciego roku życia uczą się języka angielskiego i bardzo dobrze. Natomiast nauka języka rosyjskiego, mongolskiego czy kazachskiego jest niepopularna, a może i nawet zawstydzająca, przez co należy do obszaru zainteresowań bardzo niszowych branż. Wynikiem tego większość czytelników nie jest w stanie dotrzeć do wschodniej literatury, tak rzadko tłumaczonej na nasz język.

ML: Porozmawiajmy o Literackiej Nagrodzie Nobla. 2022 rok – Francuzka, Annie Eraux, 2021 rok – Abdulrazek Gurnah... nie, nie, to Brytyjczyk. 2020 –

Louise Glück, amerykańska poetka i esejistka. 2019 – Peter Handke, Austriak.

2018 to nasz rok. 2017 – Kazuo Ishiguro! Tak! A jednak nie, bo to Brytyjczyk. 2016, Bob Dylan, którego nie trzeba przedstawiać. 2015 – Swiatłana Aleksijewicz – czyżby? Białorusinka. Czy to już wschód? 2014, Francuz. 2013, Kanadyjka. 2012 – jest! Mo Yan, Chińczyk z pochodzenia, wśród tytułów przetłumaczonych na język polski, a które dotyczą wschodu, są *Obfite piersi, pełne biodra*, *Żaby*, i nie tylko. Właśnie trafiły na moją wirtualną półkę. Kopałam, szukałam, znalazłam. W podobny sposób wertuję listę nagrodzonych Bookerem, National Book Award, Pulitzerem i naszą Nike (być może tematyka związana ze Wschodem?). Dominacja Europejczyków i Amerykanów zatrwaja. Zapominam o Ameryce Południowej i Afryce, by nie poczuć się jeszcze bardziej izolowana od siostr pisarek i braci pisarzy z tak innych kontynentów. Tak, jestem odurzona pękającą w szwach listą audiobooków na Legimi, które szalenie chcę przesłuchać, ale zajmie mi to miesiące, w trakcie których wyjdą kolejne publikacje karmiące mnie do syta Zachodem. Chyba właśnie straciłam apetyt.

MR: Zauważ, że całkowicie odwrotnie jest wśród młodzieży i ich zainteresowań. Od czasów pandemii popularność mang, a także anime wzrasta

z roku na rok. Widzimy to, jeżdżąc na konwenty fantasy, których nazwy, moim zdaniem, powinny być już rozszerzone na „Konwenty fantasy i anime”. Młódzież lgnie do mangi, gdyż jest nowa, świeża, oryginalna i tak odmienna od komiksów zachodnich, zarówno kreską jak i treścią, a może zwłaszcza treścią. Przesyciliśmy się super-bohaterami bez wad, wiecznie na posterunku w obro- nie naszego świata. Jakby cały czas wymagał ratowania. Też mam już dość. Jeszcze w 2021 roku powiedziałbym, że dzieci i młodzież w cosplayach boha- terów komiksów z krajów azjatyckich to chwilowa moda. Dzisiaj widzę, że to przyszło, zadomowiło się i nie planuje wymeldowania. Dzięki temu zamiłowa- niu wzrasta zainteresowanie młodzieży językami wschodnimi. Wystarczy spoj- rzec na statystyki japonistyki i sinologii.

W tym roku w samym Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu było 466 chętnych na 40 miejsc pierwszego wymienionego kierunku oraz 243 na 40 tego drugiego. Na filologię koreańską 470 zainteresowanych na 24 miejsca. To duża fala głodnych wiedzy nastolatków, na którą kadry profesorskie nie są przy- gotowane. Czy powinny?

ML: Jeżeli nie będą gotowe, młodzież ucieknie na Wschód. Dzisiaj nie jest to już takie trudne. Pojedzie rozwijać zain- teresowania tam, zostawiając nas nadal krótkowzrocznych. Tym bardziej cieszy mnie temat trzeciego numeru „Daję Słowo”. Mogę powiedzieć za nas dwoje: mamy nadzieję, że treści tego wydania zainspirują jego Czytelniczki i Czytelni- ków do literackich podróży Orient Ex- pressem.



**Mateusz R.M. Rogalski**, prawie po- dróżnik, prawie pisarz, autor powieści fantasy z cyklu *Obrońcy Ahury* i bajki *Zamki i roboty*.



**Monika Litwinow** – kynoterapeutka, bajkoterapeutka, instruktorka jogi dla dzieci, autorka powieści krymi- nalnych *Za lasami* i *W gaju*.



# Meandry mojej azjatyckiej przygody

Zofia Brodzińska

Podróż Orient Expressem kojarzy mi się od razu z kryminałem Agaty Chistie *Morderstwo w Orient Expressie*. Jednak w przypadku tej opowieści Orient Express będzie tylko pretekstem do rozważań o mojej przygodzie z literaturą inspirowaną lub pochodzącą z różnych stron Azji.

Swoją świadomą przygodę z literaturą azjatycką zaczęłam od dwóch tomów mangi z serii *Szlakiem chmur na północny zachód* oraz powieści *Tkając świt* autorstwa Elizabeth Lim (tłum. Kaja Markowska). Te dwa spotkania były bardzo nierówne, przez co wokół mojego serca powstał mur, który pozostał niezburzony do czasu poznania całej trylogii *Wojen Makowych* R. F. Kuang. Autorka ta swoimi powieściami dotknęła najczulszych strun mojej duszy, opisując historię Rin, która swoją zaciętością zainspirowała do poszukiwania innych, równie zachwycających, azjatyckich bądź okołozajatyckich opowieści. Niestety, każde następne sięgnięcie po mangi kończyło się mniejszym lub większym rozczarowaniem.

Zacząłam się wtedy zastanawiać: czy to coś ze mną jest nie tak? Czy mangi to jednak nie mój typ literatu-

ry? W 2022 roku kompletnie zrezygnowałam z czytania mang, a też nie trafiła w moje ręce żadna interesująca powieść z Azji lub inspirowana nią. Jednak rok 2023 przyniósł pewne zmiany. Zapytacie: co się stało? Postaram się w miarę możliwości wytłumaczyć, choć sama do końca nie wiem, co się dokładnie wydarzyło.

Cofnijmy się w czasie do końcówki 2022 roku. Pewnego jesienno-wieczoru, po bardzo udanych krakowskich targach książki, mój ukochany zaproponował wspólne oglądanie anime. Nie byłam do końca przekonana, lecz po jego długich namowach zdecydowałam się na wspólne obejrzenie pierwszego odcinka. Potem przyszły następne i kolejne epizody oglądane w jego towarzystwie. Nagle z nieznanym mi do końca przyczyną chęć poznawania tej serialowej historii wymknęła mi się spod kontroli. Sama zaczęłam oglądać dalsze odcinki. Aż zabrakło nowych epizodów. Stałam się ogromną fanką anime i moje serce zapragnęło szukać następnych wschodnich opowieści.

Niestety nadeszły egzaminy, przez co zabrakło mi czasu. Po maturze

zaprowadziłam moją bratnią duszę do sklepu z mangami w nagrodę za zaliczenie egzaminów. W trakcie pobytu w sklepie wyjawiałam, że chciałabym, aby wybrał dla siebie jakąś opowieść, a ja za nią zapłać. Ku mojemu zaskoczeniu zaproponował, żebym to ja sama sobie coś wybrała i to przeczytała. Po małym przekomarzeniu się doszliśmy do kompromisu, że oboje wybierzemy po mandze, która nas ciekawi i oboje przeczytamy to, co wybraлиśmy. Szczęśliwi wróciliśmy do domów i zajęliśmy się czytaniem. W moje ręce trafił pierwszy tom z serii *Aniołowie zbrodni*. Nie oczekiwałam wiele po poprzednich doświadczeniach z tym typem literatury. Jeszcze tego samego wieczoru napisałam wiadomość do mojego ukochanego z pytaniem, kiedy kupujemy drugi tom, bo chcę więcej. W tym przypadku po raz pierwszy NIE pojawił się niedosyt, który towarzyszył mi wcześniej. Niedługo później kupiliśmy kolejny tom. Druga część tej historii zachwycała mnie równie mocno jak pierwsza i z niecierpliwością czekam na moment, kiedy będę miała tyle wolnego czasu, aby sięgnąć po trzeci i każdy następny tom. Dodatkowo w trakcie ostatniej wizyty w Empiku natrafiłam

na mangę *Samuraj i Stitch*, która urzechała mnie obecnością ulubionego bohatera z dzieciństwa. Mój mózg momentalnie z trybu „ja tu tylko przyszłam się rozejrzeć” przełączył się na opcję „OBOWIĄZKOWO MUSZĘ TO MIEĆ NA PÓŁCE”.

Jesteście ciekawi, jaki będzie ciąg dalszy? Jeśli tak, to bardzo dobrze, bo mnie samą to intryguje. Eksperymentowanie z azjatyckimi komiksami mogę nazwać swoistą podróżą Orient Expressem: nigdy nie wiadomo, jak się ona zakończy .



**Zofia Brodzińska** – dąbrowianka, z zamiłowania pilotka paralotni i czytelniczka, wybuchowa mieszanka wielu kontrastujących, lecz w jej wypadku spójnych, cech.

# Orient Express

Marta Kopacz

Niespodziewane uderzenie i ból w klatce piersiowej powaliły mnie na zimną posadzkę peronu numer jeden. Podróżni przebywający na tym samym peronie wydawali się niemi na moje jęki i bóle. Ba! Włazili wręcz na mnie niemalże bezkontrolnie, rozjeżdżali walizkami moje ciało zupełnie bez emocji, aż siostra matki, ciotka moja ukochana, Mary, wrzasnęła i wtedy, na chwilę, świat się zatrzymał. To znaczy nasz, bo podróżni nadal gnali gdzieś w szaleństwie i emocjach, ale kto nigdy nie podróżował, to i tych niezwykłości nie pojmie.

Wuj Emil złapał się za nieco za duży brzuch, zasłonił swoje małe usta wiecznie ukryte pod bujną czupryną wąsów dłonią magnata z pięknym pierścieniem na małym palcu i zatrwożył się. A potem dostał po twarzy od jakiegoś jegomościa, który zbyt głośno rozprawił przez telefon, tracąc przy tym kontrolę nad rękami i strzelił z łokcia prosto w twarz poczciewego wuja Emila. Wuj przekręcił się o sto osiemdziesiąt stopni, zdenerwował mocno, że jak to, i kto ma czelność tak go lekceważyć, ale zabrakło mu słów, siły i czasu. Skontrolował tylko sytuację poudereniową na twarzy i począł zbierać bagaże rodziny. Pociąg miał odjeżdżać za dziesięć minut.

Do tej podróży wszyscy przygotowaliśmy się z niewyobrażalną wyjątkowością, z niezwykłą ekscytacją, która u każdego z nas przejawiała się nieco inaczej. Ojciec Theodor wstał rano jako pierwszy i po zrobieniu obowiązkowych przysiadów, kilku wymachów lewą ręką w prawą stronę i kilku prawą ręką w lewo, przywdział swój welurowy szlafrok i udał się na pierwszą w tym dniu wizytę do bogato zdobionej łaźni. Zniknął na dość długo, zapewne nękanym przez emocje przed podróżą. Wynik takiego nękania każdy zna, poznali go również zamieszkujący pierwsze piętro rodzinnej posiadłości lokatorzy, gdyż

ostrzy zapach przetrawionej kolacji nie zamierzał szybko ulotnić się z korytarza. Zamierzał za to wpadać po kolei do sąsiadujących z toaletą komnat i lekko otaczać nozdrza swoim specyficznym zapachem. Druga tego poranka wstała matka, której niezwykle czuły nos wyczuł nie tylko nerwicę przedpodróżniczą ojca, ale także jego intratny interes, który to kiedyś przed matką próbował ukryć, a który to prawie że stracił go z pozycji lidera biznesu na samo dno piramidy społecznej naszej miejscowości.

Ciotka Mary i wuj Emil obudzili się niemalże jednocześnie, a może już dawno nie spali? Często zdarzało im się obudzić o za wczesnej godzinie. Za wczesnej – żeby wstać, za wczesnej – żeby zejść na śniadaniową strawę, ale zupełnie nie za wcześnie na to, aby dać upust małżeńskim pragnieniom. Może to właśnie ta upojna miłość sprawiała, że żadne z nich nie wyglądało na swój wiek? Wykorzystywali każdą możliwość, aby zapewniać się o stałym, gorącym uczuciu i najlepiej w ukryciu, bo emocjonalny gorąc czasem parzył zbyt mocno, lepiej więc gasić go w bezpiecznej od innych odległości.

Mój brat wstał jako ostatni. Matka winiła syna za to jego późne chodzenie spać i niezrozumiałe dla niej nokturnowe aktywności. Ojciec za to z dumą wypinał pierś, kiedy to po takich nocnych działaniach syn z tajemniczą iskrą w oku zasiadał rano przy rodzinnym stole i z wielkim apetytem pochłaniał ogromne ilości smażonego bekonu na tostach. Ojciec sam kiedyś był synem i doskonale rozumiał późne poranki swojego pierworodnego potomka. Dobrze wiedział, że napięcie w ciele młodego mężczyzny musi sobie znaleźć ujście. A jak mu się nie pomoże, to samo sobie znajdzie, w taki czy inny, równie przyjemny, sposób. I również z tego powodu zdawał się nie zauważać młodych niewiast czmychających z posiadłości wcześnie rano, zanim jeszcze słońce na dobre światła nie obudziło, a kur nie zapał.

Ja spać nie mogłam już od trzeciej i do samego rana, kiedy to domostwo zaczynało brzmieć rodzinnym gwarem i pachnieć parzoną w kawiarni pobudką, zdążyłam odwiedzić toaletę sześć śmierdzących

razów, wypić zbyt wiele filiżanek herbaty prosto z Indii, za co dostałabym normalnie burę od matki, ojca i wiecznie podróżującego wuja, który ową herbatę zdobywał ciężko zapracowanymi monetami. A ja ją piłam i niczego z trudów zagranicznego handlu sobie nie robiłam.

Wszyscy domownicy, każdy na swój sposób, czuli tego poranka coś, czego nikt nie potrafił nazwać ani określić. Łaskotało w kiszkiach, ścisnęło za serce i tak złowieszczo uderzało w mostek. Na rozmyślania na temat tych wewnętrznych sygnałów nikt jednak nie miał ani czasu, ani ochoty. I to pomimo że podczas wspólnego śniadania przy wielkim dębowym stole na połysk nagle pękła wypełniona świeżo zaparzoną herbatą filiżanka ojca, a następnie matki, plamiąc obrus i specjalnie na ten dzień wybraną odzież. Wuj w ostatnim momencie zdążył swoją filiżankę odstawić na stół, zbyt gwałtownie, i strącił na podłogę swoim złotym sygnetem nóż do masła. W tym samym momencie zatrzymał się zegar. Skąd mogliśmy wiedzieć, że ten dzień zmieni nasz świat aż tak bardzo? Wasz świat jeszcze bardziej? Ale o tym nieco później.

To naprawdę cud, że zdążyliśmy tego dnia na stację. Podróż z zalanego herbatą domu pachniała egzotyczną przygodą, z ukochanym jaśminem w tle. Powoli każdy z nas zaczął spuszczać w głąbiny niepamięci poranne echa czegoś, czego nikt z nas nie rozumiał, mimo że czuł niewygodne uwieranie w ciele, ścisk w sercu i targanie za włosy. Ja swoje, długie i gęste, na wszelki wypadek zaplotłam w warkocz, na końcu którego zawiązałam czerwoną, satynową wstążkę. To był jedyny kolorowy element w moim odzieniu. Obserwując moją rodzinę, można by dojść do wniosku, że ulubionym kolorem nas wszystkich jest szarość w wielu odcieniach. Mówi się, że ulubione kolory odzwierciedlają stan duszy. Nigdy głębiej nie zastanawiałam się, czym może być taka dusza.

Powóz przybył na stację wczesnym popołudniem i zatrzymał się przed głównym wejściem na dworzec. Przez ogromne wejście wlatywał i wylatywał rój ludzki, okraszony różnymi kolorami odzienia i feerią

barw emocji tętniących w ludzkich żyłach i otulających przemieszczające się ciała. Powietrze pachniało początkiem lata i mieszanką zapachów różnego rodzaju straw, serwowanych na przydworcowych stoiskach. Ktoś krzyknął do kogoś, ktoś inny roześmiał się zbyt głośno. Jakaś matka ciągnęła za sobą znudzone i marudne dziecko. Starszy jegomość powoli przechodził przez ulicę, stukając rytmicznie kosztowną laską na starość i związane z wiekiem niedogodności. Stroje podróżnych znacznie różniły się od naszych, może ich dusze ubrane były w inne emocje.

– Chodź – zwróciła się do mnie matka, brutalnie budząc z obserwacyjnego prawie-że-snu.

Matka najbardziej lubiła ubierać się w czerń i ciemną szarość, a do tego uwielbiała kapelusze i najlepiej takie, które opadały na twarz, zasłaniając emocje i zmęczenie życiem-nieżyciem. Nie chciała odkrywać się przed światem, zawsze była dość skryta i jednokolorowa. Może to po prostu ojciec w tej kompilacji miał większe prawo do wyboru barw i kolorów życia, mimo że na tle przeddworcowego świata również wyglądał dość jednobarwnie. Wuj wraz z pozostałą częścią męskiej części rodziny wyjął walizki z pojazdu, dokonał należytej zapłaty za kurs w jedną stronę i zwracając się do pozostałych, rzekł:

– Chodźmy.

No to poszliśmy.

Matka zawsze mówiła, że skromność to cnota, której nigdy za wiele. Nie bardzo rozumiałam, co miała na myśli, mówiąc te słowa i wypowiadając je niemalże jak modlitwę własnego autorstwa. Za każdym jednak razem, kiedy chciałam pochwalić się nową umiejętnością, a już – nie daj Boże i wszyscy jego poddani – jakimś nowym podarunkiem, potrafiła mocno strzelić mnie swoim zimnym wzrokiem po rozżarzonych życiową ciekawością ekscytacjach. Ściszałam wtedy głosy swoich dziecięcych radości do minimum, pochylałam głowę nad koniecznością subordynacji i oddalałam się krokiem smętnym i szurającym po perskich dywanach wprost do swojego pokoju. Matka

jednak w myślach czytać nie umiała, nie dowie się zatem, że z pewnego rodzaju dziecięcym chwalipięctwem pragnę państwa poinformować, iż podróże koleją odbywaliśmy regularnie, na co pozwalał nie tylko wysoki status naszej rodziny, ale także zamożność, dzięki której mogliśmy opłacać nasze podróże – dalsze i bliższe. I nie tylko koleją. Za każdym razem kiedy wybieraliśmy się w podróż, zachwycał mnie wygląd dworca. Uwielbiałam podziwiać prężące się na suficie łuki, które siłą swoich barków trzymały całą konstrukcję w pionie, nie pozwalając jej upaść ani się ugiąć pod wpływem mijającego czasu. Głęboko wdychałam zapach mieszanki potów lokomotywy i pocieranych przez jej koła szyn, miłostnego połączenia gigantycznej siły i jedynej drogi, po której mogła ona sunąć bez obaw, bez zahamowań. Ognista, dopóki wkładasz w nią siłę napędową. Rytmiczny odgłos pasujących do siebie elementów, bez których żaden oddzielnie nie miałby sensu. Rytmika zakończona głośnym westchnieniem, ciuciuuuu, jakby z radością zwiastująca spełnienie uwięzionego wewnątrz napięcia. Wydaje mi się, że moi rodzice doskonale rozumieli siłę tego rytmu i czasem głośniej, a czasem z kontrolowanym wyciszeniem praktykowali ją w zaciszu małżeńskiej alkowy.

Tego popołudnia dworzec pachniał inaczej. Brzmiał wrogo. Atakował, rozjeżdżając radość z nadchodzącej podróży walizkami spieszących się podróżnych, którzy z jakiegoś powodu zdawali się nie zauważać naszego oczekiwania na przyjazd pociągu. Może to przez fakt, iż nasza szarość nie była zbyt interesująca, może nawet odstraszała. Zanim udało nam się wejść do pociągu, nasze stopy zostały rozdeptane jeszcze kilka razy przez stopy innych, kolorowych podróżnych, nasze żebra zgniecione przez ciała silniejszych współtowarzyszy pociągowej doli-niedoli, pobita została nasza godność i o mało co nie straciliśmy skórzanych walizek z wytartymi od częstych podróży uchwytami. Zbici, poturbowani i zdziwieni panującą na świecie obojętnością weszliśmy na pokład i rozpoczęliśmy poszukiwania swojego przedziału.

Czekała nas dwunastogodzinna podróż i sześć miejsc w przedziale sypialnym.

– Na pewno masz właściwy bilet? – zapytał wuj ojca, matka nie śmiała by nawet wątpić w słowa żadnego z mężczyzn, w towarzystwie których miała spędzić kolejny miesiąc wakacji.

– Ten sam numer, czy nie ten sam? – zapytał poirytowany brakiem zaufania ze strony wuja ojciec, wskazując na numer na biletach i porównując go z tym na drzwiach przedziału.

Wuj wzruszył ramionami, poprawił satynową kamizelkę, zapukał do drzwi i nacisnął klamkę. Nic. Nikt nie otworzył, drzwi stały zamknięte i niewzruszone, wzruszać zaczęła się jedynie matka, na co jej pozwalał – była przecież kobietą. Jako kolejny do obojętnych drzwi zapukał ojciec, a potem mój brat, a jego syn, i tym samym dokonała się próba odzyskania dla rodziny tego, co jej się należało – miejsca noclegowego dużo wcześniej wykupionego. Nagle i jakby znikąd w korytarzu pojawił się konduktor, w kierunku którego ukłonili się ojciec, wuj i mój brat. I już mieli poprosić o pomoc w wyjaśnieniu zaistniałej sytuacji obojętnych drzwi, za którymi pławił się w relaksujących pogwizdach pociągu nasz nocleg w postaci sześciu piętrowych łóżek, kiedy to pociąg ruszył.

Szarpnęło nami, prawie tak mocno, jak szarpie powóz, kiedy wystraszony koń nagle poderwie się do galopu i prawie że prowadzi do wypadku na zakręcie leśnej drogi. Wpadłam na konduktora, grzecznie dygnęłam i przeprosiłam za nagłe wtargnięcie w okolice jego pępka w wystającym mocno brzuchu, po czym spuściłam czerwoną jak satynowa wstążka na włosach od wstydu twarz i po raz pierwszy dzisiaj pożałowałam, że zaplotłam włosy w warkocz. Konduktor wydał się obojętny na moje przeprosiny, zapukał do przedziału i głośno przedstawiając się, otworzył drzwi. Ojciec, wuj i syn mego ojca spojrzeli po sobie ze zdziwieniem, każdy z nich przecież próbował i żaden z nich nie wygrał z obojętnością i niewzruszeniem drzwi. Wiele jednak nie myśląc, złapali walizki i zaczęli po kolei wchodzić do przedziału. Ich przedziału. Ale w ich przedziale już ktoś był. Ojciec wyciągnął bilety



i pokazał najpierw konduktorowi, potem podróżnym i coraz mocniej wzburzony wymachiwał rękami, nie widząc żadnej reakcji na *faux pas* popełnione przez sprzedawcę biletów na ich podróż. Ojciec i wuj stwierdzili jednak, że takie sprawy najlepiej rozwiązuje się przy filiżance herbaty. Nakazali zatem, abyśmy wszyscy skierowali się do wagonu restauracyjnego, gdzie na pewno uda nam się rozwiązać zagadkę przedziału numer sześć. Pociąg nabierał prędkości, my tempa w poszukiwaniu miejsca na spożycie filiżanki herbaty. Wąski korytarz pociągu nie chciał rozciągnąć się wszecz, nawet wtedy, kiedy mijaliśmy innych podróżnych i nawet nie wtedy, kiedy poczułam kolejne uderzenia w twarz od gestykulujących ludzi. Ktoś nadepnął na stopy mojego ojca, a matkę popchnął tak mocno, że odbiła się od okna i przewróciła na podłogę. Z głowy spadł jej kapelusz, po którym ktoś przeszedł, deformując kształt jeszcze do niedawna pięknego nakrycia głowy z ciemnoszarą szarfą zawiązaną wokół ronda. Za oknem świat pędził coraz szybciej, rozmazując mijaną rzeczywistość i mieszając wszystkie jej kolory w jeden, coraz bardziej szarobury.

Wagon restauracyjny tętnił życiem: brzmiał dźwiękiem rozmów i stawianych na spodkach filiżanek. Dźwięczał kieliszkami szampa i tymi z grubego szkła, w których na każdy kolejny łyk cierpliwie czekała szkocka z lodem. W powietrzu unosił się zapach mieszanki alkoholu, kawy, herbaty i serwowanych dań z karty. Ściany pojazdu zdobiła złota sztukateria, okna zadziornie chowały się za aksamitnymi zasłonami w kolorze butelkowej zieleni, a z sufitu zwisał przystojny żyrandol z mnóstwem mieniących się kryształów. Podłogę wagonu otulał miękki dywan z kwiatowym haftem na wzór angielskich ogrodów królewskich. Stoliki zajęte były przez spragnionych pasażerów, głodnych wrażeń i czekających na ekscytujące wydarzenia podczas długiej podróży, bo wtedy wiadomo – wszystko się może zdarzyć. Ojciec wraz z wujem stali pośrodku sunącego po torach wagonu, starając się znaleźć wolny stolik, aby w towarzystwie swojej szarej rodziny zdecydować o dalszym przebiegu tej zaskakującej podróży. Kolorowi

współpasażerowie zajęci byli swoimi sprawami, nie zwracając uwagi na bezkolorową rodzinę, obładowaną zbyt dużą ilością ciężkich bagaży, chwilowo porzuconych na wyhaftowanym maku. Kontrast pomiędzy barwnym dywanem i szarością naszej rodziny nie dziwił nikogo. Nawet kelnera, który biegał w pocie czoła pomiędzy stolikami a kuchnią, taszcząc na tacy ciężkie stawy i mnóstwo szkła. Biegał w jedną i drugą stronę, ignorując pytania mojego ojca o wolny stolik dla sześciu osób. Wpadł kilka razy nawet na zmęczoną ciotkę, popychając ją wprost na ukryte za grubą zasłoną okna, w których odbijało się życie toczące się w restauracji na szynach. Wzburzony wuj już miał mu zwrócić uwagę i zganić jak niesubordynowanego lokaja, ale sam dostał tacą po nosie i zamilkł w zdziwieniu na taki rozwój sytuacji. Stojąca z dala od środka wagonu matka, widząc co na florystycznym dywanie się wyprawia, nagle głośnym jak na jej osobowość tonem rzekła:

– Tam, wolny stolik, szybko!

Ciotka, nadal dochodząc do siebie po nieszczęsnym lądowaniu na oknie, wyciągnęła z kieszeni spódnicy białą chusteczkę i poczęła wachlować spocone czoło i coraz bardziej zszargane nerwy. Z godziny na godzinę lato stawało się coraz bardziej prawdziwe, zaznaczając swoją obecność stróżkami potu na czołach podróżnych i obsługi pociągu w dalekie nieznane. Wuj doskoczył do narożnego stolika i usiadł na samym środku. Obok usadowili się: mój ojciec i jego syn, my z matką usiadłyśmy po bokach, chroniąc niejako męskie ciało naszej wycieczki. Ciotka, wachlując się białą chusteczką, podążyła przez środek kwiatowego dywanu, w ostatnim momencie unikając zderzenia z wielkim jegomościem z jeszcze większym wąsem.

– Co za brak kultury! – pisnęła frustrującym całą rodzinę sopranowym głosem. – Damę tak potraktować, zwykły kelner, toż to skandal! – ciągnęła dalej, ale nikt jej już nie słyszał, bo piskliwe narzekanie zmieszało się z rytmicznym stukotem pociągu.

– Herbaty? – zapytał wuj, ale przypominając sobie poranny dramat pękających filiżanek i herbacianych wodospadów podczas śniadania, od razu dodał: – Chociaż ja tam i tak wolę whisky. – I spojrzał pytająco na milczącą w końcu ciotkę.

Kiwnęła głową z przyzwoleniem, nadal wachlując się chusteczką. Trzymany w dłoni ręcznie haftowany materiał powoli tracił swoją biel, a może to połączenia nitek zaczęły pękać od starości. Szarobłada matka coraz bardziej traciła siły i barwę, wydawało się, że i ona zaczęła tracić połączenie z rzeczywistością. Brat, ojciec i wuj pogrążeni byli w męskiej dyskusji i głośno zastanawiali się, czy wiek mojego brata jest już odpowiedni, aby i on mógł w końcu skosztować wysokoprocentowego napoju w grubej szklance z lodem na dnie. Mnie nikt o zdanie nie pytał, mogłam im tam całkowicie wyblaknąć i nikt nie przejąłby się tym faktem. Nie byłam synem mego ojca, a jedynie żeńskim potomkiem i moja obecność w jego życiu nie miała aż takiego znaczenia. Ale do tego zdążyłam się już przyzwyczaić. Tak jak każde z nas zaczęło przyjmować dziwną sytuację w pociągu za coś coraz bardziej normalnego. Tylko dlaczego akurat nasza rodzina traktowana była jak pasażerowie gorszej kategorii? Czy to kara za zamożność i pozycję społeczną, o niebo lepszą niż innych, mniej fortunnie obdarowanych przez los (nie)szczęśliwców?

Moje rozmyślania przerwało pojawienie się kolejnych pasażerów w wagonie restauracyjnym. Byli bardzo kolorowi i głośni. Bez pytania kelnera o stolik podeptali kwiatowy dywan i podeszli wprost do naszego stolika.

– Tutaj usiadzemy – powiedział mężczyzna wyglądający jak ojciec rodziny. Głowa, może i tak, ale każdy wie, że głowa bez szyi to sobie może i głową być, ale wiele bez szyi nie zdziała.

– Może być – odpowiedziała szyja, gramoląc się wprost na moje kolana.

– Mamo! – krzyknęłam i drgnęłam. Mój głos był o wiele bardziej cichy niż dzisiaj rano. Coraz bardziej bladoszara matka spojrzała tylko

na mnie spod kapelusza smętnym wzrokiem. Ojciec zaczął wymachiwać rękami i bronić się przed głową rodziny, która z kolei pchała się na jego kolana.

– Ja sobie wypraszam! – wyprosił sobie wuj po raz kolejny w tym dniu, ale również po raz kolejny nikt nie wziął sobie jego słów na poważnie. Na jego kolana z kolei wpychała się gromadka kolorowych miniaturowych kopii głowy i szyi, które zdecydowanie nie wiedziały, co to są zasady dobrego wychowania.

Syn mego ojca z obrzydzeniem odsuwał się od kolorowych miniatur, jakby dotknięcie takich zwawych ciałek miało złowrogie właściwości i zarażało wstydliwą chorobą. Kolorowa rodzina ładowała się na nasze kolana, mocno nas przy tym kiereszując i nie zwracając zupełnie uwagi na łkanie coraz bardziej bladoszarych członków naszej rodziny. Pociąg nagle zaczął hamować, zbyt ostro, żeby utrzymać w pionie nie tylko niesione na tacy szklanki z trunkami, ale także samego kelnera, który ostrym impetem wbił się we wstającego od stołu ojca, następnie wuja i brata mojego, całkowicie już zbrzydzonego kolorowymi miniaturami głowy i szyi. Srebrne sztucce przeleciały przez prawie że przezroczystą matkę i zatrzymały się na ciotce. Chusteczka rozpadła się w pył, tak jak moja kokarda i rozproszyły się po wagonie. Pociąg nadal hamował, a spod kół rozbłyskiwały iskry – owoc trudnej miłości pomiędzy ciężkim pociągiem i drogą z żelaznych szyn. Rytm tej miłości powoli ustawał, gwizd lokomotywy coraz głośniej obwieszczał światu, że za chwilę może być koniec. Tej podróży do nie wiadomo dokąd również. W wagonie restauracyjnym rozległy się szlochy i płacze, lamenty i modlitwy. Matka spojrzała na mnie ostatni raz i rozproszyła się w pył jako pierwsza. Zaraz za nią soprania ciotka. Potem syn i ojciec, w jednym momencie, jakby na zawsze chcieli pozostać nierozłączni. Wuj zamienił się w proch chwilę przede mną, ja zdążyłam rozpuścić cienki warkocz, już zupełnie bez koloru, zanim zniknęłam, łącząc się z rozproszoną w nicości rodziną.

Pociąg w końcu się zatrzymał. Podróżni z ulgą w głosie zaczęli płakać jeszcze głośniej, kelner wstał ze słonecznika wyhaftowanego na dywanie i zaczął zbierać rozsypane sztucce. W sali rozbrzmiały brawa i wiwaty skierowane w stronę dzielnego motorniczego, który cudem ocalił pociąg od podróżniczej zagłady. Nasz rodzinny pył, nadal unoszący się w powietrzu zaczął niemo zastanawiać się, dlaczego nam się wtedy nie udało. Mój niebyt spojrział na plakat na ścianie wagonu.

*6 czerwca 1899 Orient Express na trasie z Paryża (Francja) do Sztambułu (Turcja) wykoleił się w okolicach miasta Reims (Francja). Żaden z pasażerów nie przeżył katastrofy. Nasi bracia i siostry, spoczywajcie w pokoju.*

Pod tekstem widniała lista pasażerów, wśród której rozpoznałam nasze imiona, nasze stare fotografie, daty urodzin i tragicznej śmierci. Na peronie zamigotał neon wokół nazwy stacji: Reims. Przy wejściu do wagonu restauracyjnego wisiała na wieszaku kopia brytyjskiego dziennika *Daily Telegraph*. Był 6 czerwca 1999 roku.

Marta Kopacz

Brighton, 03/06/2023



**Marta Kopacz** – Pasjonatka treści z pogranicza alternatywy i niszowych produkcji. Autorka opowiadań *I love you and hate you*, wtorek w *Antologii NieOCZYwistej* oraz *Cięża na kartki* w *Mikołowskim kalejdoskopie*. Poetycko zaistniała również w tomiku poezji *Życiem pisane... Vol.2*.



**Antologie od Samowydawców,**  
których opowiadania  
na długo w Tobie zostaną.



# Na zawsze

Stella M. Sit

Pierwsza była Zeynep. Jej ciemne włosy lśniły w słońcu niczym drogocenny klejnot. Parzyła najaromatyczniejszą herbatę, jaką kiedykolwiek piłem. Czasem jeszcze o niej myślę. O tej herbacie czarnej jak włosy mej lubej.

Druga była Melek. Pracowała w kawiarni przy Taksim Meydanı w Stambule. Jej imię oznaczało anioła, choć uśmiechała się uśmiechami podejrzanymi u diabła. Złamała mi serce, rzucając się na szyję innemu.

A teraz ona. Jaki mężczyzna zdołałby oprzeć się temu spojrzeniu? Słodka Hayat... Jej oczy przenikały mnie na wskroś, zupełnie jakby spoglądała prosto w moją duszę. I dłonie. Miała, zaiste, wyjątkowo piękne dłonie.

Moja chłodnia pełna jest takich miłosnych pamiątek.



**Stella M. Sit** – retuszerka, graczką i twórczyni larpów. Wielbicielka kotów i kolekcjonerka książek.

# Orient – tak. Express – niekoniecznie.

Mariusz Łapiński

„Ważne jest przestrzeganie przepisów BHP. Zwłaszcza na kolei!” – ostrzega polski superbohater As w czarno-białej komedii *Hydrozagadka* i pewnie ma rację. Jednak każdemu, kto ma w sobie naturalny pociąg do podróży, pociągi kojarzą się raczej nostalgicznie, bo co może być lepszego, niż „wsiąść do pociągu byle jakiego...”?

Romantyczna wizja luksusowego Eastern & Oriental Express (bliźniak Orient Expressu kursujący kilka razy w miesiącu między Bangkoku a Singapurem) może zostać nieco przyćmiona przez cenę takiej przyjemności, którą liczyć należy nie w setkach, a tysiącach dolarów. Zwykłemu podróżnemu pozostają regularne połączenia i związane z nimi trudy, ale też interesujące doświadczenia. O tym, jak podróżowanie koleją wygląda w krajach Dalekiego Wschodu, pisałem w *Zwrotniku Dzioborożca*, którego fragment z przyjemnością przytaczam poniżej.



## **WYGODA KONTRA PRZYGODA**

W pociągach długodystansowych obowiązują aż trzy klasy. Spore odległości z Bangkoku do Chiang Mai na północy lub Trang na południu możemy pokonać w różnym stylu, w zależności od naszych preferencji lub zasobności portfela. Czasami zdarzy się jednak, że skazani zostaniemy na niższą (lub wyższą) klasę, ponieważ na wybraną przez nas zabraknie biletów.

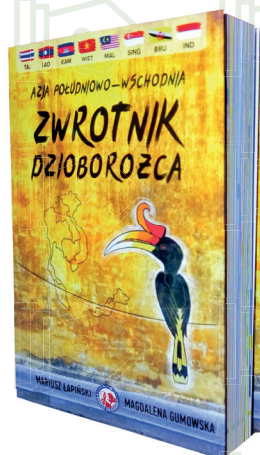
Najwygodniejsza jest, rzecz jasna, klasa pierwsza. Klimatyzowane wnętrza, wygodne kuszetki, które obsługa rozkłada i zaściela pachnącą pościelą, wyciszone, trochę sterylne wagony. Wygoda, ale też nuda.

Klasa druga dzieli się na sypialną i zwykłą – siedzącą. Sypialna posiada kuszetki (gorsze niż w klasie pierwszej), a w siedzącej można się wyspać w całym wygodnych fotelach. Snu zaznamy oczywiście tylko pod warunkiem, że nie przeszkadza nam hałas nie tylko jadącego pociągu, ale też gwar kojarzący

się z targiem. Niezależnie od pory dnia lub nocy na każdym przystanku do pociągu wsiadają sprzedawcy, którzy niosą głodnym i spragnionym pasażerom ratunek. Usługa jak najbardziej pożądana, ale oprawa, jaka jej towarzyszy, już niekoniecznie. Handlarze, zachwalając towary, drą się na całe gardło, rzecz jasna po tajsku, więc w większości przypadków i tak nie rozumiemy, co jest w ofercie, dopóki nie zobaczymy na własne oczy. Wybór, trzeba to przyznać, jest spory, jednak poza dmuchanymi waflami ryżowymi, których termin spożycia wskazuje na nieskończoność, reszta wygląda nieco podejrzanie.

Jest jeszcze druga grupa handlarzy, którzy towar zachwalają szeptem. Nie potrzebują oni szczególnie krzykliwej reklamy, żeby znaleźć amatorów oferowanego asortymentu. Proste i dyskretne, znane również z rodzimych pociągów „chłodne piwo, piweczko” wystarczy, żeby trafić do klienta, a przy okazji ominąć zakaz handlu trunkami w komunikacji publicznej.

Drugą istotną różnicą między klasami pierwszą a drugą jest brak klimatyzacji. Zastąpiona ona została umieszczonym pod sufitem obrotowym wiatrakiem zamontowanym na ruchomym ramieniu tak, że jeden obsługuje kilka siedzeń po obu stronach przejścia. Podczas dokuczliwych upałów na chwilę ulgi w strumieniu powietrza trzeba niestety chwilę poczekać.



Wiatraki poza ulgą dają też szansę na bliskie spotkania z fauną. W nocy, kiedy zazwyczaj nadal jest ciepło, działają bez przerwy, a okna pozostają otwarte. Zwabione światłem owady wpadają do wagonu, a strumień powietrza z nawiewu przekierowuje je wprost na pasażerów, którzy po przebudzeniu mają szansę znaleźć na twarzy to, co zwykle lata w powietrzu po zmroku. A lata całkiem sporo.

Cena podróży w klasie trzeciej jest kilkukrotnie niższa niż w wagonach wyższych klas i jest to zdecydowanie największa przygoda, ale wymaga solidnego siedzenia. To znaczy tyłka. Proste drewniane ławy są na dłuższą metę nie do zniesienia, dlatego w tych wagonach popularność zyskały spacery, które sprzyjają interakcji z krajozłotami. Tą klasą podróżuje młodzież na wycieczki szkolne, wojskowi jadący na przepustkę, zwykli obywatele zmierzający do sąsiedniego miasteczka na targ



i mnisi buddyjscy, którzy dostają miejscówki za darmo, ale tylko w klasie budżetowej.

W klasie trzeciej też można się wyspać. Do wyboru mamy pozycję embrionalną na twardym siedzeniu albo rozłożenie się na podłodze pod siedzeniem. Podróżując we dwoje, rzucamy monetą.

Przed dokonaniem wyboru co do stylu podróży, oczywiście jeśli nie zostaliśmy go pozbawieni przez wyprzedanie biletów, należy odpowiedzieć sobie na pytanie: w jakich warunkach chcemy spędzić podróż, która na pewno potrwa kilkanaście godzin, mając jednocześnie zagwarantowane opóźnienie pociągu. Wygoda kontra przygoda.



**Mariusz Łapiński** – podróżnik z pasją. Autor vloga *Dobrze Pojechane* i książek przygodowo-podróżniczych.



źródło: *Dobrze Pojechane*  
Zwrotnik Dzioborożca

# Nie tylko Chiny i Japonia – rozmowa z autorami książki *Zwrotnik Dzioborożca o Azji Południowo-Wschodniej i azjatyckich inspiracjach w powieści przygodowej*

Magdalena Gumowska i Mariusz Łapiński – małżeństwo o niezwyklej energii i egzotycznych upodobaniach. Założyciele kanału Dobrze Pojechane na YT, na którym dzielą się reportażami ze swoich podróży. Autorzy książek przygodowo-podróżniczych *Jak nie dać się zjeść Australii* oraz *Zwrotnik Dzioborożca*.

Rozmawia: Anna Strzelczyk-Cichosz

**Popełniliście wspólnie książkę *Zwrotnik Dzioborożca*, która traktuje o Azji Południowo-Wschodniej. Zainteresowała mnie od razu o tyle, że kiedy myślimy o Azji, od razu mamy przed oczami wielką trójkę: Chiny, Korea, Japonia. A Wy dla odmiany w ogóle nie dotykacie tych krajów. Dlaczego taki kierunek?**

Mariusz: Często słyszymy pytanie, czy w książce jest któryś z tych krajów i później musimy się tłumaczyć, dlaczego ich nie ma.



**Anna S. Cichosz** – autorka książki fantasy pt. *Ziemia winowajców* oraz prawdziwy człowiek orkiestra.

**No to dlaczego ich nie ma? (śmiech)**

Mariusz: Trochę z przypadku, a trochę z zainteresowania. Kiedy wybieraliśmy się do Australii, to pomysł był taki, żeby przejechać się właśnie przez Azję Południowo-Wschodnią. Chcieliśmy zacząć od znanych mi już wcześniej terenów, czyli Tajlandii, Laosu, Kambodży. Później chcieliśmy coś dodać, żebym i ja miał coś nowego z tego wyjazdu i tak rozszerzyliśmy wyprawę na południe, powoli kierując się już w stronę docelowej Australii.

Magda: Bo to właśnie Australia była naszym głównym celem wyjazdu z Polski, także kierunek ten był z wielu przyczyn bardzo naturalnym wyborem.

**Jak już wspomniałam, jesteście współautorami tej książki i Wy też to**



**Magdalena Gumowska** – z zawodu optometrystka, prywatnie twórczyni projektu podróżniczego Dobrze Pojechać. Coraz częściej zajmuje się oprawą graficzną książek.

**bardzo mocno podkreślacie. I to też jest, myślę, bardzo ciekawa rzecz. Teksty są w całości autorstwa Mariusza. Natomiast cała oprawa graficzna to dzieło Magdy. (Poza częścią zdjęć, które wykonał Mariusz.) Wniosek nasuwa się sam, ale powiedzcie mi, czy to faktycznie tak dla Was jest, że treść książki jest mocno skorelowana ze składem?**

Magda: Tak, dokładnie tak jest. Dlatego też zdecydowaliśmy się wydać nasze książki samodzielnie. Chcieliśmy właśnie, aby tekst współgrał ze zdjęciami, żeby wszystko miało odpowiednie ułożenie na stronie i uzupełniało się nawzajem. Uznaliśmy, że jak oddamy to w czyjeś ręce na zewnątrz, to praca będzie bardzo mozolna i trudna, a co więcej: utrudni przekaz, o który nam chodziło. I dzięki tej decyzji zdjęcia uzupełniają treści, ale są też takimi dodatkowymi wrzutkami, bo czasem nawet sam podpis pod zdjęciem jest jakąś dodatkową treścią.

**To mogę potwierdzić, bo się naprawdę uśmiełam przy niektórych podpisach. Kolejna kwestia to gatunek. Wy sami określacie tę książkę mianem „przygodowo-podróżniczej”. Bardzo to u was widać, tę próbę przemycenia pewnych historii. To widać wyraźnie w książce *Jak nie dać się zjeść Australii*, ale jak podkreślacie w rozmowach**

**z czytelnikami, to jeszcze więcej o ludziach dowiadujemy się w książce o Azji. Faktycznie jest w Was chęć, by dawać nam więcej przygody niż typowego przewodnika?**

Mariusz: To nigdy nie miały być przewodniki *stricte*. Raczej książki inspirujące do przeżycia czegoś fajnego. Do zaczerpnienia masy informacji, bo to jest dla mnie niesamowicie istotne, żeby wiedzy na temat danego kraju bądź krajów przemyścić jak najwięcej, ale właśnie pod płaszczykiem dobrej zabawy. To nie ma być encyklopedia. Przede wszystkim rozrywka, a przy okazji wartość edukacyjna wpleciona gdzieś między wierszami. A wracając do pytania o ludzi, to w Australii tych interakcji było trochę, ale jednak nie tak dużo jak w Azji.

**(śmiej) No tak. Jednak inna specyfika krajów.**

Mariusz: (śmiej) To raz. Druga rzecz to ogromna różnorodność kulturowa oraz odrębność kulturowa od Polski, no i odrębność kulturowa pomiędzy tymi miejscami. W Azji zwiedziliśmy osiem krajów i chociaż niektóre są w jakimś stopniu podobne do siebie, to jednak każdy się od siebie czymś różni.

**Trochę jak z krajami słowiańskimi. Jak ktoś jest z daleka, to będzie**

**myślał o nich bardzo jednolicie, dopóki nie będzie w każdym z nich przez jakiś czas.**

Mariusz: Otóż to. Fajnie to porównałaś, bo podobnie ma się sprawa w tej części Azji. Każdy kraj ma odrębną historię, ale łączy je np. religia. W innych państwach spotkamy za to zupełną mieszanekę wyznaniową. Na pierwszy rzut oka nam się te kraje mogą wydać podobne, ale te pozory mylą. Dzięki właśnie różnorodności, te interakcje z ludźmi są ciekawe. W każdym z krajów chcieliśmy poznać kogoś i było to dla nas bardziej naturalne. W Australii nie korzystaliśmy tak często z przewodników lokalnych, jak w Azji, a to też jest taki pierwszy, bezpośredni kontakt z tamtejszym mieszkańcem.

Magda: Ale drugim powodem, dla którego więcej o ludziach jest w książce o Azji, jest to, że te kraje mają o wiele dłuższą historię. Stąd mamy bogatszą kulturę, tradycję, pod tym kątem są bardziej rozwinięte i zawile. Dlatego próba pisania o tych krajach, przybliżania ich społeczeństw łączy się jednoznacznie z ludźmi. Nie da się mówić o kulturze danego społeczeństwa bez integracji z tymi ludźmi. A w Australii ta historia jest jednak dość krótka.

**A skoro o ludziach i o specyfice tych krajów... Powiedzieliśmy sobie, że są**

**w Azji kraje bardzo popkulturowe. Mocno weszły już w świat zachodni i zaczynamy je bardziej rozróżniać niż kiedyś. Mniej tego jest w przypadku krajów, o których Wy napisaliście. Ale czy widzicie w nich jakiś potencjał na to, by się nimi inspirować? Czy Ty, Mariusz, inspirujesz się nimi, gdy piszesz swoje inne utwory? Bo wiem, że piszesz też inne rzeczy.**

Mariusz: Tutaj wybiegamy trochę w przyszłość do mojej powieści przygodowej, powieści awanturniczej, trochę z motywem szukania skarbów. Właśnie pierwsza z planowanego cyklu książek będzie miała miejsce na terenie Azji Południowo-Wschodniej,

którą znam dość dobrze. Z tego powodu chcę osadzić akcję właśnie tam. Jest to dość egzotyczna lokalizacja. Mimo że Tajlandia jest już dosyć dobrze znana polskiemu turystyce, to Malezja czy Wietnam to kraje, które zyskują obecnie popularność w naszym kraju. Natomiast Laos i Kambodża są dla nas jeszcze zupełną egzotyką. Mam nadzieję, że osadzenie tam fabuły sprawi, że zainteresowanie tamtymi terenami będzie rosło. A warto, bo jest tam mnóstwo zagadek, ciekawostek i tajemnic przeszłości. Robiąc *research* do książki, dokopywałem się do fascynujących rzeczy, ale oczywiście jako pisarz pozwolę sobie dodać swoje trzy grosze, ubarwić i coś sobie dopowiedzieć.



Magdalena Gumowska i Mariusz Łapiński

**À propos tego dodawania od siebie... Jak dużo dodaliście od siebie do książek przygodowo-podróżniczych? Bo kiedy mowa o książkach podróżniczych, to czytelnik często ma w głowie bardzo wierny realiom dokument. Ale u Was jest ten pierwszy człon. Mamy tu dialogi, tak że zakładam, że nie chodziliście z dyktafonem i nie nagrywaliście wszystkich dookoła. Chociaż w sumie nie wiem (śmiej). Może tak było.**

Magda: Mimo tego że w czasie obu wypraw nagrywaliśmy wiele filmów (więc chodziliśmy często ze sprzętem) to nie nagrywaliśmy wszystkiego i wszystkich. Dlatego zawsze mówimy (i to jest chyba najlepsza odpowiedź na Twoje pytanie), że 1% w każdej książce Mariusz sobie zostawił na doszlifowanie dialogów. Żeby były bardziej płynne chociażby.

Mariusz: Za to ja mam pamięć jak słoń, więc większość tych dialogów i tak jest prawdziwa, tylko spisana po czasie. Ale ja się wychowałem na filmach, a moja zdolność zapamiętywania dialogów w filmach jest fenomenem.

Magda: (wtrącenie) Żebyś ty pamiętał wszystkie nasze rozmowy...

Mariusz: Eee... Natomiast ja zazwyczaj pamiętam z podróży dużo detali

i konkretne miejsca. Często pada pytanie, czy robiłem sobie notatki w czasie wyjazdu. Zawsze mówię, że nie. Wspomnienia odżywają przy zdjęciach i filmach. Ale i bez tego mam dobrą pamięć do rejestrowania podróży w głowie. Dobrze się w tym uzupełniamy z Magdą, bo każde pamięta inne elementy.

**A wasz warsztat pisarski w podróży? Jak to jest być pisarzem w podróży?**

Magda: Mariusz ma dwie główne cechy. Jest pisarzem i podróżnikiem. I kiedy jest w podróży, to całym sobą jest właśnie podróżnikiem. A kiedy jest pisarzem, to całym sobą zajmuje się pisaniem. I to raczej do tej pory się nie łączyło. Podczas podróży po Azji, w ogóle nie było pomysłu, że będzie z tego książka, a jedynie pomysł na kanał na YT. W trakcie podróży po Australii już był pomysł na książkę, ale z tego, co ja widziałam, Mariusz nie robił żadnych większych notatek, tylko wszystko spisywał po podróży.

Mariusz: (do Magdy) Zdradzę ci pewien sekret, którego może nie wiesz. Na samym początku, jak byliśmy na wyspie Fraser, pisałem trochę w notatniku na komputerze.

**I legenda upadła. (śmiej)**

Mariusz: (śmiech) Powstało wtedy kilka stron, ale były tak słabe, że czytając po jakimś czasie, stwierdziłem: *Nie! Usuń!* Myślałem, że będąc na bieżąco, odczuwając to wszystko, będzie najlepiej to notować. Tu biwaczek, świecący księżyc, szumiące morze... więc cyk! Odpałiłem laptopa i zacząłem pisać, ale po czasie zabrakło właśnie tych kwestii informacyjnych, bo na Fraser działa się jednak o wiele więcej niż tylko szumiące morze i świecący księżyc. U mnie jest bardzo dużo konkretów, a nie ma za bardzo lania wody.

**Mówię na to literackie *shoty*. Historyjka. *Shota* wychylasz, lecisz dalej i już mamy coś innego.**

Mariusz: Tak. Myślę, że ludzie dzisiaj szukają takich krótkich form.

**Przejdźmy do samego procesu wydania waszych książek. Już wspo-**

**mnieliście, że zdecydowaliście się na ścieżkę *self-publishingu*. Wielu samowydawców to właściwie takie jednoosobowe wydawnictwa i sami wykonują część pracy przy wydaniu, jeśli na danych elementach się znają. No i w waszym tandemie jest osoba, która już na coraz większą skalę zajmuje się składem. Złożyłaś Waszą książkę o Azji, a teraz pracujesz przy projektach m.in. bajki oraz chociażby tego czasopisma „Daję Słowo”. I są to projekty bardzo ambitne, wymagające i przede wszystkim niezwykle twórcze. Czy chcesz się w takich specjalizować? Jak poważnie traktujesz kwestie składu?**

Magda: Bardzo chcę się w tym rozwijać i to robię. Jeszcze nie na 100 procent, bo wciąż pracuję w moim pierwotnym zawodzie, ale w każdej wolnej chwili staram się jakieś zlecenie przyjąć. Nie ogłaszam się na razie na zewnątrz, bo

# KSIAŻKI PODRÓŻNICZE

DLA SPRAGNIONYCH ŚWIATA



[WWW.DOBREPOJECHANE.PL](http://WWW.DOBREPOJECHANE.PL)

nie mam na to tyle czasu. Skupiamy się na naszych projektach, ale często mam jakieś zlecenia w gronie towarzystwa i stowarzyszenia samowydawców. To informacja, że składam się sama rozchodzi. Muszę przy tej okazji podziękować Mateuszowi Rogalskiemu, bo gdzie może to mnie poleca, po tym jak złożyłam dla niego bajkę *Zamki i roboty*. Dobrze czuję się w takich wymagających, graficznych projektach. Chociaż oczywiście skład tradycyjnej powieści to też jest ciekawa praca.

**Właśnie o to chciałam zapytać, Mariusz. Czy twoją powieść przygodową będzie składała Magda?**

Magda: Zobaczymy, czy zgodzi się na cenę. (śmiech) Nie no, żartuję. Na pewno będzie składała. Tam też zapewne będą jakieś ilustracje, choć znacznie mniej niż w tych podróźniczych. Chociaż teraz

widzę, że Mariusz ma tu taki zły uśmiešek. (śmiech) Więc chyba jednak zobaczymy, czy złożę jego powieść.

Mariusz: Zobaczymy, jaką cenę podykuje konkurencja. (śmiech)

Magda: Ja jeszcze dopowiem, że na razie zaczynam w tej branży i staram się mieć ceny przystępne i konkurencyjne.

**Także warto cię łapać teraz! Bo potem będzie trudniej. (śmiech)**

Mariusz: Potem ja zajmuję kolejkę. (śmiech)

\*\*\*

To jedynie połowa rozmowy z Magdą i Mariuszem z kanału Dobrze Pojechać. Aby zobaczyć cały wywiad w wersji video, wejdź na stronę: <https://patronite.pl/dajeslovo> i zobacz naszą ofertę dla Patronów.

 **DAJĘ SŁOWO**

SPRAWDŹ NA



**PATRONITE**



# Yasuke – prawdziwa historia legendy

Arkady Saulski

Spółeczeństwo japońskie wciąż należy do dość hermetycznych i zamkniętych przed obcokrajowcami, a sytuacja ta nie była wcale lepsza przed wiekami. Mimo to, co jakiś czas naszą wyobraźnię rozbudzają opowieści o przybyszach, którym udało się do japońskiego społeczeństwa przeniknąć i zyskać akceptację. Zaś historia Yasuke, czarnego samuraja, należy do najciekawszych.

Yasuke, czarny samuraj, który przybył do Japonii i został tam cenionym wojownikiem, to postać fascynująca i inspirująca. Czy jednak Yasuke istniał naprawdę?

Jak to zazwyczaj bywa w takich przypadkach, fizycznych dowodów na jego istnienie nie mamy żadnych, toteż pozostają nam tylko przekazy. Rozmaicie bywa z ich wiarygodnością, ale że zachowały się tak europejskie, jak i japońskie, można z dużą dozą prawdopodobieństwa stwierdzić:

1. Istotnie, na dworze Ody Nobunagi przebywał czarnoskóry wojownik przywdziewający zbroję i posiadający oręż – miecz.
2. Wojownik ów nie urodził się w Japonii. Przybył na wyspy z portu-

galskimi misjonarzami, co prowadzi nas do punktu następnego...

### 3. Yasuke był chrześcijaninem.

A reszta? Jak wskazują źródła, najszerszej cytowane w książce Thomasa Lockleya *African Samurai*, człowiek, którego dziś określamy mianem Yasuke (wcale tak się nie nazywał!) pojawia się na kartach historii w roku 1579 jako służący Alessandra Valignano. Valignano był Włochem na portugalskim żoździe, jezuitą działającym na terenie Azji. Jego misja w Japonii miała polegać na sprawdzaniu postępów w chrystianizacji kraju. A tak się składa, że Oda Nobunaga to wielki rzecznik chrystianizacji. Ten jeden z trzech „wielkich jednoczycieli” Japonii był prochrześcijański nie z dobroci serca – chrystianizacji potrzebował dla utracenia wpływów buddyzmu, który stał w ostrej, politycznej opozycji względem Nobunagi. Przybywszy do Kioto, Włoch miał stanąć przed Nobunagą, który zafascynował się towarzyszem jezuitę. Zaskoczony ciemnym kolorem skóry miał nakazać, by Yasuke „stał atrament ze swego ciała”. Władcy imponować miała też siła Yasuke i wzrost. Nieco później Nobunaga „przejął” Yasuke od Włocha, czyniąc go...

No właśnie: nie samurajem. Yasuke, jak sugerują przekazy, owszem, pełnił na dworze Nobunagi rolę ochroniarza, ale też towarzysza. Służył, owszem, ale jego relacja z Nobunagą nie miała sztywno feudalnego charakteru.

Yasuke miał towarzyszyć Nobunadze podczas krwawej rozprawy z prowincją Iga (kto czytał *Panią Ciszę*, ten znajdzie w książce echa tamtego konfliktu, zaś cała prowincja Węży jest po prostu prowincją Iga na sterydach). Po zdradzie Mitsuhidego (ciekawe, bowiem w japońskiej historiografii i kulturze zdrada Mitsuhidego jest równie znacząca, jak dla chrześcijan postępek Judasza!) i śmierci Nobunagi Yasuke prawdopodobnie zabrał głowę swego daimyo, chroniąc ją przed zdobyciem przez nieprzyjaciół.

Potem Yasuke ponoć towarzyszył jeszcze synowi Nobunagi – Nobukatsu. Po jego klęsce nie popełnił seppuku (co potwierdza, iż pozostał chrześcijaninem – dlaczego, tego chyba nie muszę tłumaczyć?), lecz wrócił do jezuitów w Kioto. Tak kończy się jego historia. Nie mamy więcej informacji co do jego dalszych losów. Może dlatego, że szukamy ich nie tam, gdzie trzeba – historycy przeczesują źródła japońskie i portugalskie, a być może jakieś informacje udałoby się znaleźć w archiwach Kościoła katolickiego? Nie jestem historykiem, tylko spekuluję.

A imię Yasuke? Skąd pewność, że go nie nosił? Wszystkie źródła wyraźnie

mówią o tym, że wspomniany mężczyzna rodem z Afryki nie „nazywał się” Yasuke tylko „był tak nazywany”, a to różnica. Jak pisze Maciej Zaremba, Yasuke ma być efektem japonizacji prawdziwego imienia mężczyzny. Najpewniej więc wywodził się on z Etiopii lub afrykańskiego ludu Yao, co wydaje się najbliższe prawdzie – wszak dla Japończyka „mężczyzna z Yao” byłby po prostu Yao-suke. Yasuke.

Cała reszta to już legendarne i kulturowe dopowiedzenia. Czy potrzebne? Nie mnie oceniać, ale bez wątpienia prawdziwa, nawet niewzbogacona fikcją historia czarnego samuraja jest na tyle ciekawa, że sztuczne wzbogacanie jej wydaje się już pozbawione sensu.



**Arkady Saulski** – dziennikarz ekonomiczny oraz autor kilku powieści i kilkunastu opowiadań. Wydaje w Polsce, Rosji i na Ukrainie. Jest laureatem Nagrody im. Władysława Grabskiego, przyznawanej przez NBP najlepszym dziennikarzom ekonomicznym w kraju.

# Dziecko w obliczu katastrofy jądrowej w Fukushima - recenzja książki *RIKU i królestwo bieli* Randy Taguchi

Agnieszka Kusiak

Są książki, które dwa dni po przeczytaniu ulatują z czytelnika. Gubi się ich fabuła, uciekają szczegóły – ot, była i zaraz jej nie ma. Są książki, które każą czekać na odkrycie ich wartości, zachowując swoje dostojenie, ale są i takie, które oceniasz na pierwszy rzut oka, uznając je za czytanki do poduszki. Jednak tuż koło nich leży japońska powieść *Riku i królestwo bieli*.

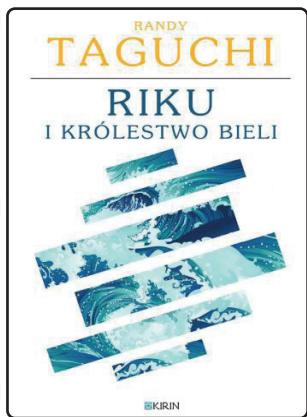
I nic już nie jest takie, jak wcześniej.

„Riku wciąż jeszcze był dzieckiem, nie miał wyboru, jak tylko pozostać w cieniu dorosłych i czekać na to, jaki obrót przybiorą sprawy. [...] Dziesięcioletni Riku miał w sobie jeszcze odrobinę pogody ducha – wystarczająco, by jak szczeniaczek akceptować wszystko, co go spotykało”. Ale 11 marca 2011 roku wszystko się zmieniło. Zaczęły się regulaminy i nakazy, wywózki ludzi z dnia na dzień, pojawiły się obowiązkowe maseczki na twarzach i zagrożenie. Promieniowanie, które zmieniło świat i nic już nie było takie, jak wcześniej. Riku „nie chciał okaza-

wać, że jest spięty. Ostatnio cały czas czuł napięcie w ramionach, bolała go głowa. [...] Nie wiedzieć kiedy stał się inną osobą. Bądź dzielny, Riku” – usłyszał tajemniczy głos zmarłej mamy, ale zamiast otuchy poczuł okropną samotność. Został z ojcem, lekarzem w nowym domu, w Fukushima.

W centrum tragedii.

Centrum niczego i nikogo, bo niemal wszyscy uciekli, zostawili, co mieli. A Riku? Przyjechał tu z tatą, bo ten dostał nową pracę. Riku zaczął szkołę, ale co to za szkoła, gdy wszystko jest zakazane? Codziennie przeprowadza się dekontaminację, „[...] zbierano warstwę napromieniowanej ziemi, sfluściwano skażone miejsce, zbierano liście z zanieczyszczonych drzew i różne odpadki”. A że nie było gdzie ich wyrzucić, [...] „pakowano je w plastikowe worki i tymczasowo składowano w mało widocznych miejscach... Ale w końcu i tak trafiały na wysypisko razem ze zwykłymi śmieciami”. W tym



tkwi dziecko i resztki społeczności, która została, bo nie miała innego wyjścia.

Ta książka zostanie w czytelniku na długo. Riku i królestwo bieli ma w sobie głębię, która kompletnie pochłania, choć nie spodziewałam się tego z opisu na okładce. Już początek książki uświadomił mi, że gdy skończę czytać, nie będę tym samym człowiekiem.

W najmniej spodziewanych momentach przypominałam sobie o treści i analizowałam ją, stawiając sobie samej pytania. I choć autorka przedstawia bardzo wysublimowany, acz smutny opis osadzony na słonych łzach tragedii, to godziłam się na niego. To historia o chłopcu, który znosi więcej, niż niejeden dorosły. O chłopcu, którego dzieciństwo skończyło się w chwili wybuchu reaktora.

*Riku...* zmienia postrzeganie świata i życia. Zaskakuje tym, co dzieje się z czytelnikiem, lecz po jakimś czasie od zakończenia lektury. Wszystko musi dotrzeć i znaleźć w odbiorcy miejsce. Co

jakiś czas przypominam sobie, co przeczytałam i za każdym razem znajduję w niej coś innego.

Autorka Randy Taguchi zwykłym, wręcz prostym tekstem napisała książkę, która ma niewspółmierny oddźwięk do siebie samej. To nie jest banalna historia chłopca i jego ojca w czasie tragedii w Fukushima. To historia ludzi, którzy muszą znaleźć się w centrum zagrożenia i żyć. Zmagać się z codziennością i pokornie chylić głowę przed rzeczywistością.

Cisza, jaka pojawia się w głowie po przeczytaniu *Riku...* świadczy o głębi tej powieści, która napisana została z uczuciami. To powieść, którą czytałam z ołówkiem w ręku. Zakreślałam proste słowa bogate w treść i znaczenie, do których potem wracałam i zbierałam w garść, jak drogocenne drobiazgi.



**Agnieszka Kusiak** – maniak książek i słowa pisanego. Pisze opowiadania i recenzje. Współpracuje z autorami książek i wydawnictwami.

# Olcha z Wilczej Doliny

Rozdział III Boginka

Agata Kasiak

Umysł Krzesąda pochłonęła noc. Znów był w tamtym lesie, a oczy, mimo ciemności, widziały ostrzej. Czarne pnie wiekowych drzew znaczyły się wyraźnymi słupami wśród jesiennego poszycia. Czas jakby zatrzymał się, by strach mógł trwać dłużej i więzić nieszczęśnika w pułapce. Mężczyzna słyszał swój świszczący oddech i widział kłęby wyrzucanej przez płuca pary. Nie było druhów ze straży, nie było konia, nie było nawet pogoni czarnych rycerzy. W ich miejsce z mroku wyłaniały się upiorne wilcze kształty, raz po raz mieniające się jeszcze ludźmi. Zapach padliny rozszedł się po lesie. Tak jak sapanie i warczenie stworów.

Krzesąd rzucił się do ucieczki ile sił w nogach. A w biegu uświadomił sobie, że jego ciało nie było zdolne do podobnego wysiłku od dobrych dwudziestu lat, może dłużej. Wiedział, że senna mara wróciła i będzie dręczyła go dopóty, dopóki nie padnie w jesienną ściółkę, dopóki nie usłyszy wilczego jazgotu, dopóki nie poczuje bólu rwanego zębiskami ciała i nie padnie w błoto zmieszane z własną, ciepłą krwią. I póki ból ran zakażonych trupim jadem nie zabierze otumanionego w nicość.

Słyszał własny jęk i czuł strużki łez płynące po starczych policzkach. Ale mara nie puszczała. Krzesąd nie potrafił się wybudzić.

Upiory wdzierały się w jego umysł pogłosem słów, które niegdyś były ludzkie.

*ONI wrócą, gdy zamarznie morze.*

*Czekaj krwawej gwiazdy.*

Słowa sfory Krzesąd znał na pamięć. Ale tym razem wśród wizgów padło coś nowego, czego dotąd nie słyszał:

*Serce królobójcy splotło się już z sercem wybranki. Nadchodzi godzina... Dwoje splotzi bestię.*

– Wilko! Wilko! – Skrzekliwy głos wiedźmy z samego rana płoszył ptaki w dolinie. – Gdzież się podziewa gadzina zwłóczona.

Stara wyglądała z progu chaty w słoneczny świt, próżno szukając ślepiami.

Sporo miodu popiła z wieczora przy ciepłym stosie we wsi i pamiętała ledwie, że wychowanek, nie mając innego wyboru, przywiózł panią do chaty na tragacu z sianem, a potem wniósł w progi chaty, niczym młodą pannę.

– Niczym młodą pannę – zarechotała na wspomnienie. Aż dziąsła z nielicznym uzębieniem odsłoniły się wdzięcznie na jej pomarszczonej gębie. – He he, ma krzepę, skaranie boskie. A mógł zostawić na tragacu. A nie zostawił. A mógł.

I rażno machnąwszy, ręką wróciła do izby, stwierdzając również, że po tym miodku to i kolana mniej kłokotały, i przeciągnąć się łatwiej...

– Ech. Jednak nie. – Skwaśniała zaraz po chrupnięciu w kręgosłupie. I mniej rażno jąta szperać po garach czy dzbankach, szukając czegoś dobrego.

Kuśtykanie Krzesąda słyszała z daleka. Także i jego nieludzkie stękanie. A i kielbaskę niesioną w podarku wyczuła z wzruszeniem. Wyszła dziadowi naprzeciw, wracając w próg i chwilę jeszcze bacząc na zmagania staruszka z ciałem nienawykłym do szybkich i dalekich marszów. Wzięła się pod boki i znów wyszczerzyła resztki zębów.

– A cóżeś ty taki zziajany, dziecko?! – Nie mogła się nadziwić, jak to ludzie we wsi w oka mgnieniu potrafili się zestarzeć.

– He? – Łypnął w stronę, skąd posłyszał wiedźmi głos. – Tyś to, pani?

– A jam ci jest! A to już wzrok ci, dziecko, aż tak słabuje, że ziorasz i ziorasz i człowieka nie poznajesz?!

– A zioram. A i słabuję, jakżeby nie. Lata robią swoje. Gorsze mam ja, niestety, frasunki w życiu. Oj, gorsze.

– Chodźże tu, dziecko. Takiś był rączy przecie ledwo to... Ile lat wstecz?

– Rączy, to jam był ze dwie dekady temu, pani. Póki mnie czarni rycerze nie sprawili w lesie.

– A pamiętam, pamiętam. Ścierwa zalarwione. – Splunęła w kąt. – Ale kielbaskę czuję, przyniosłeś, dziecinko słodka?

– A przyniosłem w podarku. – Przypomniiał sobie o zawiniątku nie tylko z kielbaską, ale i plackami jagodowymi, winem i świeżym bochnem chleba. – Chudaś, pani, to i wyfutrować by cię trza przed zimą.

– A chuda, chuda. – Radowała się, wyciągając ręce po pachnący tobołek. – Pomyślunku do garów tom ja nigdy nie miała, a teraz to już w szczególności. O piciu to prędzej pamiętam. To tak. To i owszem.

Tymczasem dokuśtykał do niej, podał jadło, i mogła ujrzeć znajomy strach w jego przebarwionych chorobą oczach.

– Zaś co do upiorów, pani, to ja właśnie o tym – wydyszał. – Czarni rycerze wrócili.

Zmarszczyła nos w niezadowoleniu. Potem zaprosiła starca w progi. A kiedy spoczęli razem i nieco odsapnęli, Krzesąd opowiedział wiedźmie o sennej marze z minionej nocy. Starucha zaś zamysliła się nad tym w uwadze. Bezwiednie rozwinęła chustę z podarkiem i wgrzyła się w kielbasiane pęto. Żuła chwilę.

– Kielbaska pierwszorzędna – przyznała mimochodem.

Ucieszył się. I znowu posmętniał.

– O zamierzaniu morza było zawsze – podsumował ostatkiem sił. – O krwawej gwieździe takoz. Ale o królobójcy i płodzeniu bestii... nigdy.

– Nigdy za twojego żywota, boś młody – zbyła jego tok rozumowania. – Jam ci jednakowoż nie raz bajania takie to tu to tam wysłyszała.

– Od kogóż to?

– A to dąb zaszumiał o tym, a to utopce łkały przy pełni. Cała dolina nasiąknęta strachem przed spłodzeniem bestii.

Zbladł, o ile jeszcze było to możliwe dla woskowego oblicza.

– Myślisz, pani, że.... – Oczy mu się rozszerzyły. Krew zawrzała. – Ten wilkar, pani! Twój chłopak! Bogowie! Toż on cały wieczór i noc całą, kiedyś chrapała, pani...

– Ja nie chrapię.

Zadziorne warknięcie starej wybiło Krzesąda z chwili. Spokorniał wnet, zawziętym, paskudnym wzrokiem więdźmy znad kielbasy mierzony.

– Kiedyś, pani – ważył słowa – spała... Na tragacu. Zażywszy miodu.

– No, toż wiem! Gadajże do rzeczy, dziecko, o co rozchodzi się tobie?

– Pani. – Krzesąd odzyskał siebie i własne pojmowanie. – Twój chłopak nie inaczej jak tylko całą nockę smalił cholewki do Miłej! Jakoby nie tryzna to była, a wianki!

Stara zacięła usta w kreskę, wszelakoż zamyślona posepnie. Zastygła z kawałkiem kielbasy w ustach. Potem odłożyła jadło.

– Niedobrze, by wilkar z ludzką dziewczką... – mamrotał jeszcze Krzesąd. Był jedyną osobą we wsi znającą sekret Wilka i nie mającą wilkarów za legendę.

Ale nim dopowiedział ostatnie słowo, więdźmy już nie było w izbie. Usłyszał jedynie zdawkowe:

– Pilnuj kielbasy.

A potem od podwórza słychać było tylko klekotanie kolan i mamrotane przez starą wiązanki:

– Już ja ci splotę serce z moim Wilkiem, latawico zmierzdziana! Już ja ci dam wilkara, zachciewajko wszeteczna ty! Kołtunico zawszawiona. Durne to, po Siemku, a i matka nie lepsza! A babka! Ta ci dopiero chućliwa była! Niechby je co oblaźło!

Dalej w las niosły się już same przekleństwa.

Przy wodospadzie kaskady wody z jeziora powoli uciekały w świat. Skąły zamykały modry basen, ale nie ujarzmiły siły, która napierała na wąski przesmyk i uwolniona, z tym większym impetem najpierw



zostawiała wydrążony u podnóży kocioł, a potem małą rzeczka uchodziła daleko, poza góry.

– Ciekawe dokąd płynie – szeptała rozmarzona Miła, upiwszy jeszcze miodu.

Była śliczna. Wilko raz po raz spoglądał ukradkiem na jej buzię i w dekolt.

Siedzieli ramię w ramię na skalnej półce mniej więcej pośrodku wysokości wodospadu. Pod nimi woda odbijała błękit nieba w wydrążonym siłą spadających strumieni małym jeziorzku. Wiatr coraz to zawiewał przyjemną bryzę spienionego żywiołu. Zaś po drugiej stronie kotła, w dole wodospadu, w niebieskawym lustrze przeglądała się Wierzbowa Boginka. A raczej drzewo, rosochate i stare, kształtem przypominające ciężarną kobietę.

– Wygląda jakby obmywała włosy w wodzie, nie? – Miła wskazała gestem podbródka ten szczególny twór.

Oboje z Wilkiem zaśmiali się na to radośnie.

– Stary Krzesąd, mówiłam ci, wierzy do dziś, że to jakaś zaklęta niewiasta.

Skinął. Zresztą dzięki temu wierzeniu starca i jego darom dla czczonego drzewa popijali oto miód i zajadali najlepsze placki z jabłkami. Miła wyjawiała chłopakowi sekret podkradanych spod wierzby smakołyków, nie pozwalając zdradzić, kto je zjada, zwłaszcza Krzesądowi.

– Ja jednak myślę, że to niemożliwe. A ty? – Dziewczyna obdarzyła Wilka wejrzeniem urokliwych, błękitnych ocząt.

Zapomniał nawet, o co zapytała. Dopiero ocknął się, zarumienił.

– Nie wiem – odparł prosto. – Jeszczem o to mojej pani nie pytał.

– Pani, pani... – Miła skwaśniała i upiła miodu z dzbanka. A potem znów zrobiła natchnioną minę. – Gdyby było to coś więcej niżli drzewo, dawno bym sparszywiła za to okradanie z darów! Chyba, żem wybranką Wierzbowej Boginki!

Wilko odbijał jej śmiech i wesołość, wręcz chłonał ją. Nigdy nie był tak blisko z dziewczyną, do tego jakże piękną. Przez większą część rozmowy więcej niż słuchał, oglądał jej usta, oczy, złociste włosy i zarysowane pod koszulą piersi. Był ciekawy, kiedy ona ciekawiła się czymś, promienny – kiedy promieniała. I było jeszcze coś, co wyczuwał w niej – słodki zapach przyciągający jak nic w świecie. Do tego napięcie w ciele, które czuł w spodniach, a które ona podsycala, bawiąc się to wiązaniem koszuli, to rąbkami spódnicy, wreszcie zaglądnąca na niego coraz śmielej.

– Czy ta Wierzbowa Boginka – starał się wrócić do rozumu – nie zdaje ci się brzemienną? Te gałęzie wprawdzie moczy w wodzie, ale część z nich to nie tylko jakby warkocze, a jak ramiona splecione pod krągłym brzuszkiem.

– Uhm. Też to widzę. I wyziera spomiędzy nich taka pochylona, smutna twarz.

Lubił, kiedy miała ten zamglony, rozmarzony wyraz twarzy.

Uśmiechnął się, gdy oparła jasnówłosą głowę na jego ramieniu.

Jej dalsze słowa słyszał jakby mimochodem:

– A ten brzuch taki... ni to dziuplasty, ni to wybałuszony... Pęknięty. Jakby zaraz miał się rozewrzeć! Co wyszłoby z niego na świat?! Jakaś bestia?! Łaaa!!! – Tu Miła złapała chłopaka za udo, niby strasząc słowami.

Ale jej dłoń została tam. A Wilko poczuł, że drży.

– Jakiś ty twardy! – Dziewczyna zapiszczała beztróska, bawiąc się udem chłopaka. – Ja jestem taka miękka, inna w dotyku. Chcesz zobaczyć?

Nie wiedział, co począć, i tylko bardziej ją rozśmieszał.

– Toć tyś ze świata! – Starła się go w tym uświadomić. – Kiedy w te zasrane góry przybywa ktoś taki, od razu... No, nie wiesz co? Ojej... nie wiesz. – Poznała po jego szczerzej, zakłopotanej minie. – Żeś niby taki dzikus? Hmm. Właściwie... podoba mi się to. I powiem ci jeszcze, że – zbliżyła usta do jego twarzy – ty mi się podobasz. Cały.

Natarła nań ciepłym, pachnącym młodością ciałem. Zachichotała, sunąc dłonią wzwyz uda, aż poczuł, że dzieje się coś wyjątkowego.

Rozproszyli się, gdy nieznacznie pociemniało. Wzrok obojga pobiegł odruchowo ku niebu, którego dotąd nie znaczyła żadna chmurka. I wciąż żadnych obłoków nie było, a mimo tego słońce zbladło.

– Co to? – Miła wzdrygnęła się. Ale nie działo się nic więcej, więc zachichotała. – Czyżbym jednak naraziła się Wierzbowej Boginie? Obronisz mnie przed tym sękatym babskiem, Wilko?

Chłopak niechętny pobiegł wzrokiem ku majestatycznemu drzewu, naprawdę zdającym się brzemienią niewiastą pochyloną nad wodą i lejącą w topiel smutne łzy.

– Wilko! – Scenerię przy wodospadzie rozdarł zgrzytający wrzask starej baby.

Było już wyraźnie ciemno i złowrogo. Jakby zgasło słońce.

Wiedźma wychynęła spomiędzy drzew, wściekle węsząc przy kotle u stóp wodospadu i wypływającym zeń górskim strumieniu. Wyczuła, a rychło i zoczyła parę młodych na skalnej półce niedaleko wzwyz.

– Są, gniazdowniki bałamutne – zamruczała pod nosem. – Wilko! Wnet zleż ku mnie!

Zrobiło się cicho. Wiedźmę doszło szamotanie i pospieszna wymiana zdań ze strony, w którą wypatrywała.

– Już idę, pani! – posłyszała głos chłopaka.

Zdumiało ją jego posłuszeństwo, mimo wszystko.

Z półki skalnej dochodziły teraz echa rzucanych tam w przyciszeniu słów. Brzmiały jak:

– Toż tyś jest jak jej... piesek do nogi!

– Zaraz wracam, Miła!

– W dupę się pocałuj! Sam wybrałeś! Sękatą babę!

Rozhisteryzowany głos Miłej przyprawiał wiedźmę o jeżenie resztek włosów na głowie. Ale Wilko zjawił się dosłownie w na-

stępną chwilą, a słońce znów zabłyszczało na niebie, oślepiając zdumionych ludzi.

Olcha chciała pogderać na dziwne zjawisko, jakby zupełnie świadoma, skąd pochodziło. Jednak widok Wilka złamał w niej wszelki gniew. Chłopak był wystraszony, rozpalony i zupełnie pogubiony. Przepraszał wzrokiem, dyszał jeszcze, jak nie on, i uparczywie starał się zasłonić miejsce w podbrzuszu, wyczuwając, że tak właśnie powinien czynić.

– Mój biedaku – jęknęła w ubolewaniu nad nim. – Toż... Nierazem cię widziała, nie bójże się, na bogów, dziecko.

Rzeczywiście dotąd wilkar nie zwracał zbyt dużo uwagi na ciało. Miało swoje pory, dni, do których przywykł i nie uważał, że winien wstydić się jego reakcji. A i wiedźma nigdy nie zwróciła mu uwagi w tej kwestii, uznając sprawy za takie, jakimi zostały stworzone.

– Piesek do nogi! – krzyknęła jeszcze za nim Miła spośród skał wiodospadu i pokazawszy język, odeszła w swoją stronę.

Wilko zasmucił się.

– Wybacz, dziecko – podjęła Olcha, tym razem całkiem już łagodnie – ale musiała odgonić was od siebie.

Ciekawie podniósł wzrok. Borykał się jeszcze z wypukłością w spodniach, jaką miał po czułościach z Miłą.

– Ta ciemność... przeze mnie przyszła? – Zabrzmiało cicho, instynktownie wyczuwając magię zjawiska.

– Tak, Wilko. Niestety. Wierz mi, dziecko kochane, nie broniłabym ci... życia, gdyby nie to prawo, które... Które nie zezwala na płodność między ludźmi i wilkarami.

Dochodził do siebie, wyglądając coraz marniej. Płomień w ciele nie mijał tak szybko, a w głowie rodziła się rozpacz. Nie było chyba w dolinie wtedy bardziej żałościwego stworzenia.

– Nie pojmuje, pani – chłopak wydobył szept – dlaczego.

– Wytłumaczę ci. A teraz chodź do domu. Proszę.

Drgnął na to, jak wiedźma spoważniała i jak stała się łagodna. Ukazywała mu się taką tylko w wyjątkowych chwilach – kiedy było jej go naprawdę bardzo żal.

Spuścił głowę. I przestawszy się zasłaniać, poczłapał za staruchą.

– Dzięki, żeś przyszedł, jakem zawołała. – Starucha przerwała jeszcze ciszę smutnym głosem.

– Tak. Jak „piesek do nogi”.

Nic nie dopowiedziała do tego. Znów przemierzali las w milczeniu.

Ale wtedy świat po raz kolejny pociemniał. Aż oboje wędrujący zatrzymali się, wciągając nowy zapach.

– Ścierwa zalarwione. Są.

– Kto, pani? – Wilko całym sobą, z nową czujnością starał się zasłonić kobietę.

– Czarni rycerze. Duszanieckie upiory. Uwięzły tu setki lat temu, jak i ja. Poznasz ich po odorze padliny i białych pasach wybijających się z mroku.

– Wilki duszanieckie, pani?

– Taaa. One. Przekłete.

Wilko zmarszczył nos, gdy woń wroga zgęstniała. Oboje poczuli, że coś otacza ich w pełnym magicznego mroku lesie.

W kilka uderzeń serc powietrze zgęstniało, a wśród drzew zaszeleściło, zamajaczyło coś. Wreszcie Wilko rzucił przydzwiek, szykując się do odparcia ataku i gotów przyjąć zwierzęcą postać w każdej chwili. Zewsząd roiło się od konnych. Czarne rumaki, pozbawione nozdrzy, jakie tylko, według legend, hodowały czarne duszanieckie klany, zadudniły kopytami w leśnej głuszy. Wkrótce zarysy sylwetek rycerzy w czarnych pancerzach, przepasanych białymi, symbolizującymi cnotliwość pasami, zaczęły wyłaniać się ze złej ciemności pochłaniającej las.

– *Wydad „Przekłętego”!* – Wizg układający się w umysłach w ludzkie słowa przeciął świat.

Wilko warknął w odpowiedzi, a zaraz potem struchlał. Zza jego pleców rozbrzmiał kobiecy, znajomy głos:

– *Nie ważcie się rozkazywać... mnieeeee!*

W lesie zadudniło, jakby przegalopował przezeń niewidzialny, co najmniej stukonny zaprzęg!

Wilko aż padł na ścieżkę, w ostatnim odruchu zwracając twarz na Olchę. Zmieniała się, zgodnie z jego podejrzeniami. Już znał to, spodziewał się widoku, który ujrzał, choć wygląd postaci nie był codziennym obrazem wiedźmy. Chłopak koniecznie chciał przyjrzeć się temu ponownie. Zmarszczył brwi w uwadze, mimo rozszalałego umysłu, przyglądając się kobiecie, którą od ostatniego widzenia nad jeziorem nazwał sobie „Panią w klejnotach”. Teraz dokładniej spostrzegł, że jej oblicze należało do wiedźmy, ale było mocno odmienione jakąś tajemniczą siłą. Emanowało nią. Cała sylwetka stała wyprostowana dumnie i władczo, a opływała ją połyskująca szata zdobiona złotymi nićmi i misterną siecią błyskotek.

Jednak wszystko trwało bardzo krótko. W mgnieniu oka uleciała i ciemność, i rycerze, i obcość wiedźmy. Kiedy Wilko zerwał się z leśnego prochu, jego pani stała pośród lasu zwykła i smętna.

– Co to wszystko... było... pani? – wydukał, ledwo stając na nogi.

– Aaa! Starzy znajomi, Wilko. – Olcha machnęła ręką. – Wściubiają pogniłe nosy w nieswoje sprawy.

Mrugał oczami, dochodząc do zmysłów.

– A... Ona znów była tobą, pani. Wiesz? – spytał wreszcie. – Ta... w klejnotach.

– Wiem, dziecko, wiem. Wyrwa się ze mnie jakby częściej. Maszkara przebrzydła.

Wilkar skinął, choć wciąż myślał nad tym, zwalniając nieco oddech.

– Cóż, dziecko, póki co nie trapijmy się tym. – Wiedźma ruszyła ku chacie, on za nią. – Ważne, że te obrzydliwości słuchają się mojej maskary. A do niej przywykłam. Na własnej piersi wyhodowana, tfu.

Właściwie to nawet na obu. Nie darowałam jej ich jeszcze! Niech sobie nie myśli! Takie były... Ech.

Kolebiąc się i psiocząc na te sprawy, wkrótce zniknęła za zakrętem leśnej ścieżyny, Wilko za nią.

Kiełbaska, którą czuł z drugiego końca lasu, mocno poprawiła nastrój wilkarskiego chłopaka. W chwilę później pochłaniał ją łapczywie, aż radowało się serce staruchy. A i Krzesąd niemalże ślinę przelikał – tak sugestywnie i ze smakiem jadł młodzieniec.

– Papusiaj, śliczności, papusiaj – przemawiała wiedźma, głaskając wilkara go po głowie. – Kochaności ty moje. – Uwielbiała patrzeć, jak młody wcinał, zwłaszcza, kiedy mu tak coś podeszło.

– Zostawimy co na jutro, pani? – spytał roztropnie.

– Nie, nie – odparła z pewnością w głosie. – Już ja tam czuję, jak wszelaka gadzina w lesie, w górach i w jeziorze czai się na naszą kiełbaskę. Już li tylko patrzeć, aż zwlekłoby się tu podstępne jakie robactwo, czy inne utopce. Jedz, jedz spokojnie.

– To twoja część, pani, zatem. – Podsunął jej pół porcji.

– E, nie. Jam już pojadła nadto – skłamała, łapiąc się za zapadły brzuch. – Kęs więcej i do zimy nie opędziłabym się od pierdzenia.

Skinął. Tymczasem Krzesąd ocknął się:

– Kiedyście głodni, zawszeście u mnie mile widziani. Pomnijcież na to.

– Dzięk ci, dziecino. – Wiedźma poklepała go po ramieniu. – Dobre z ciebie stworzenie. I tak po prawdzie, Krzesąd, to jedynie z tobą mogę pomówić o moim chłopaku. Jeden znasz jego sekret wilkarski. Sameś wilkarskie dziecko chował przed laty. Poradźże, z kim by tu wyswatać biedaka, żeby czarnych rycerzy nie drażnić więcej?

– Juści, tylko z wilkarką by trzeba.

– Ale skąd ją wytrzasnąć? Szare klany wygnały go, a i wyradzają się sami niechybnie, od lat spółkują wsobnie. Próżny to trop i żadna gratka z ciotką czy kuzynką gzić się po górach.

Wilko łytał znad kiełbaski to na wiedźmę, to na starca. Słuchał, kiedy rozprawiali nad nim.

– Przed laty duszaniecki wilk z czarnych klanów zapędził się w te góry ze świata – mówił Krzesąd – przeto może i panna by jakaś zawiłała? Kto to wie, co za górami słyhać?

– No, kupcy nie zajeżdżali dawno. Widno tam wojna jaka.

– Pewnie i wieloletnia. O kupczeniu w odległych zakątkach mało kto myśli. Ale może znów miejsca braknie dla niektórych i czarne wilki przybędą w góry?

– Z nimi piękna panna dla naszego Wilka?

Chłopak błysnął ślepiami. A pani krzepiąco pogładziła jego czarne loczyska.

– Ładnie palce ci pachną kiełbaską, pani – stwierdził przymilnie, zaciągając się w przyjemności.

– Dobre dziecko jest, czyż nie? – Kobięcina wyszczerzyła się do kamrata.

– A owszem, nad podziw posłuszny i roztropny – przyznał Krzesąd. – Młody, a nie nadto чуцілы. Wybierze mądrze.

– Może sam w świat pójde za panną jaką? – Wilko wzruszył ramionami, jakby plan był prosty.

A starsi pokiwali głowami. Wszak wilkar, widać, odważny był, i drogi w nieznane nie były mu straszne.

O czarnych rycerzach wiele nie było co gadać. Od wieków upiory stały na straży czystości ludzkich ras i nieraz już zjawiali się w dolinie, kiedy wilkar i zwykły człowiek zbytnio mieli się ku sobie.

– Wszelako jednak – pouczyła gościa na odchodnym wiedźma – gdyby jeszcze nastrościli się tobie, czy komu, bierz kiełbasę i co masz, i przychodź prędko. Jak w dym uderzaj.

– Dzięki ci, pani – odrzekł Krzesąd i wygramoliwszy się z chaty, ruszył do domu.

Wiedźma patrzyła za nim chwilę z wysokiego progu.



– Tak nie pomyśli ten chłop – marudziła pod nosem. – Jadło pod Wierzbową Boginkę nosi i napitek... A tak po prawdzie to lisom i ro-bactwu. Ech, ludzie. – Wróciła za stół. – Widział to kto, by w naturze drzewa było kielbaskę żreć czy placki wpierdzielać? He he. No, jedz, gadzinko, jedz, śliczna.

Wilkarski chłopak właśnie kończył kielbaskę, oblizując się ze sma-kiem i zabierając za placki.

– Pani – przypomniał sobie jeszcze – czyli to drzewo tam takie... brzuchate... nad wodą. Nie strach to jaki? Tak? Zwykle próchniejące...?

– Wierzbowa Boginka?

– O! Właśnie ona.

– Zwykła nie jest. Ale nieszkodliwa.

– Aha. Bo ona... zdaje się kształtem nie inaczej, jak brzemieną niewiastą. Gałęzie tak przywodzą na myśl włosy, nawet jak warkocz splotają się! Aż dziw. No i ten sęk jeden, jak twarz, a druga wypukłość, jak brzuch właśnie, co to zeń już ci wnet wydrapie się jaki...

– Miot?

Zastygł niemrawo z plackiem w ustach na takie słowo.

A wiedźma zarechotała beztrosko:

– Odkąd pamiętam, jeszcze nic z niej nie wylazło.

– Aleś rzekła, pani, że nie jest zwykła.

– Nie jest. – Starucha spoważniała krztynę. – Takie drzewa, jak Wierzbowa Boginka, powstają na kilka sposobów. Ta wyrosła na ludzkiej krwi.

– Ojej. Straszności.

– Owszem.

– Na czyjej krwi zatem ona tak...?

– Zapewne tej, której kształt przybrała. Leczem nie znała, kto ona. To drzewo rośło tu wieki temu, zanim ja sama przybyłam w te góry.

– Czyli, że to drzewo... jest starsze od ciebie, pani?

– I starsze od Świętego Dęba.

Oślupiał. Długo trawił to, co usłyszał. Posmutniał również wobec losu tajemniczej kobiety.

– Kiedy przyjrzyś się korze Wierzby, dostrzeżesz odcień krwi. Po tym poznałam, że korzenie piły niegdyś krew człowieczą. – Wiedźma westchnęła. – Tak, czy inaczej, mój Wilko, to drzewo jest najwyraźniej równie nieśmiertelne, jak ja.

Pokiwał głową w uwadze.

Objadłszy się, oboje posnęli. Zbudzili się wraz z piorunami, które oto nadchodziły z burzą wieczorem. Wiedźma zaparzyła ziółek, bo cóż było robić, skoro dzień i tak już się miał kończyć? Potem zaś usiadła na progu, popatrując i nasłuchując nadchodzącego żywiołu. Myślała, że Wilko jak szybko się zakochał, tak szybko przetrzeźwieje z uczucia. Że kiełbasa i popitek zastąpią tamten poryw młodości. Ale gdy klapnął z nią na progu, ujrzała go smętnego i zamyślnego. Wyrzucił z siebie wtedy proste, jak to zwykł, słowa, które sprawiły jednak, że serce omal jej klętko:

– Pani, ja chyba, niestety, nie znajdę miłości.

– Wilko... – zaczęła w żalu. A potem brakło jej słów. Banałów nie chciała gadać.

Spoglądała na niego z boku w zmartwieniu. Sprawa wilkarskiej dziewczyny na tym zadupiu świata rzeczywiście nie wyglądała dobrze. A wyprawa donikąd... Wiedźma nie chciała przecież tak naprawdę namawiać na to chłopaka.

Wpatrywał się w klepisko na podwórku, zupełnie zresztą go nie widząc świadomie. Myślami był jedynie w rosnącym smutku.

– Wilko, nie jesteś dzieckiem – podjęła w końcu – choć takem nazywała cię niejednokrotnie z czułości. To wiesz. Dlatego pomówmy jak dorośli.

Łypnął na nią ciekawiej z ukosa, spod błyszczących loków.

– Czarni rycerze pilnują, by nie zrodziły się mieszańce, to prawda – podjęła. – Ale wszelako droga od miłości do płodzenia jest... no wiesz jaka.

– Prosta, pani?

– Nie, nie. – Kręciła głową, szukając słowa.

– Pod górkę? – podrzucił, zupełnie nie mając pojęcia, do czego zmierzała.

– Nieee.

– To: wyboista?

Starucha buchnęła wreszcie śmiechem.

– Nieoczywista, Wilko! – Rechotała. – Tak, nieoczywista.

I uspokoiwszy wesołość, wróciła myślami do młodzieńca, poważniejąc.

– Już ci tłumaczę – obiecała. I jeszcze chwilę dobierała słowa. – Miłowanie można okazać bez płodzenia dzieci.

– No wiem, pani. Ale tak całe życie wzdychać jeno? Udręka.

– No właśnie po tom myślała o jakiejś mądrzejszej pannie niżli Miła. Ale... No o takiej myślałam, co by zrozumiała i uszanowała pewne sprawy.

– Jakie, pani?

– Ech. – Starucha kłopotowała się mocno do mówienia chłopakowi takich rzeczy. Spuściła nawet wzrok, trochę nieporadnie. – Ona chce tupnąć nogą i mieć wszystko, co tylko jej się wymyśli. A tu by trzeba pokory i zdolności, Wilko, uszanowania choćby i ciała drugiej osoby. – Skupiła się i szła za ciosem, choć na sędziwe policzki, zdawało się, wytrysnął rumieniec. – Choćby to, jak sam potrafisz się dotykać... Niechby ktoś tak dotykał ciebie. I wzajemnie. Kobiety też mają miejsca, które tak działają. Narysuję ci. – Tu szybko wyrwała jedną gałąź z opartej o chatę miotły i nakreśliła u ich stóp z grubsza temat, pokazując patykiem na obrazku, co i jak. – I wilk syty i owca cała – podsumowała na koniec, nieco luźniej. – A raczej: wilkar. He he.

Pozostało teraz jeszcze odważyć się spojrzeć na słuchacza. Tego jakoś nie umiała. Zwłaszcza, że przyglądał jej się wyjątkowo długo.

– Pani... Dziękuję – padło.

– No. Zawstydziłam się – przyznała, ubawiona sobą. – Ale ważne, byś wiedział.

Odważyła się wreszcie popatrzeć mu w twarz. Uśmiechnął się, wyraźnie w lepszym humorze. Rozważał to wszystko chwilę, odruchowo nasłuchując zbliżającej się burzy.

– Zatem nie chcesz, pani, bym oglądał się za Miłą – domyślił się wciąż z żalem.

Drgnęła.

– Nie, to nie tak – pospieszyła łagodnie. – Cóż mi tam do mówienia tobie o tym, w kim się masz kochać? Nawet ty sam nie masz do końca wpływu na to, na serce, co ja dopiero? Ja tylko... – Westchnęła. – Ja tylko znam ją nieco dłużej i... Ona niejednym już się bawiła, Wilko. A obiecana jest już temu najmajętniejszemu w całej wsi. I za niego wyjdzie. Tak obawiam się, dziecko. Wybacz.

– Temu takiemu spasionemu? – Zmarszczył brwi.

A wiedźma potwierdziła.

Zapadło milczenie. Chłopak potrzebował czasu. Wiedziała to.

– Pani? – Ciszę przed burzą zakłócił jego nieśmiały głos.

– Tak?

– Czyli nie będziesz zła, gdybym... pomówił z nią? I gdybym może jednak kiedyś z nią... jak mówiłaś, no wiesz?

– Zła? Nie. Nie, Wilko. O to bądź spokojny.

Wstał w tremie.

– I gdybym poszedł teraz zobaczyć ją? – spytał niemrawo.

Poczuła gorycz, ale postarała się o uśmiech.

– Idź – rzekła spokojnie. – Idź, dziecko. Tylko szanuj się, proszę cię.

– Dobrze, pani. Będę.

I tyle go widziała.

Kiedy Wilko dobiegł wsi, nad górami grzmiało coraz mocniej. Ludzie byli pochowani po letnich domostwach. To należące do rodziny Miłej mieściło się najbliżej zamkniętej osady i było najokazalsze. Psy rozszczękały się na przybycie wilkara, zatem niepostrzeżone przemknęciem pod palisadę i ciche wołanie dziewczyny okazało się zupełnie niemożliwe. Ojciec jej zresztą zoczył chłopaka, kiedy ten jeszcze

daleko był w ścieżce wiodącej od lasu i mokradeł. Ze zmarszczonymi srogo brwiami i nastroszonymi wąsiskami czekał niespodziewanego gościa. Oparł się o widły, dzierżone w prawicy. A jego wzrok dobitnie pytał o przyczynę przybycia młokosa, zupełnie zastępując słowa.

Wilko skłonił się bardzo grzecznie, doszedłszy mężczyzny odważnie. Przełknął ślinę, łypnął na widły i zaczął:

– Ja do Miłej... Można?

– Stało się co? – Ojciec dziewczyny tylko przez strach wobec wiedzy nie pogonił nadto bezpośredniego, właściwie rażąco nieokrzesanego jej wychowanka.

– Nie. Zobaczyć córkę chciałem.

– Po co? – Chłop był coraz mniej cierpliwy. Pogardę i oschłość miał wypisaną w całej postaci.

– Na słowo chciałem.

– Tatku! – Tymczasem dziewczyna wybiegła ku nim z obejścia. – Tatku, zostawcie go. Proszę. – Wnet wsunęła się ojcu pod rękę. Jęła mówić niby szeptem, choć Wilko słyszał doskonale: – To ten chłopiec od zielarki, tatku. Ten nowy. Sierotka biedna, przyczepiła się do mnie. Opędzić się nie sposób. Serce mi się kraje z litości nad nim. Nie wiem, jak pozbyć się go. Ale nie bądź dlań, proszę, surowy, tatulku.

Wąsacz przerzucił wzrok na osłupiałego chłopaka. Potem poglądził jasne włosy Miłej.

– Za miękkie ty masz serduszko, córuchno – westchnął. I wwiercił spojrzenie w intruza, mówiąc dobitnie: – Jak się taki zwlecze, to rady nie masz... Lepiej zawczasu kubeł wody na głowę wylać, niżli by sobie wyobraził zbyt wiele. Im wcześniej, tym mniej boli.

– Ale tatku...

– A może ty chcesz takiego... znaleźć? – Ojciec zmienił ton na weselszy.

– Nie! – zapiszczała, chichocząc w objęciach ojca niczym dziewczynka. – Gdzie bym? Mnie tylko go żal, tatku.

– Nie ma litości jednego dnia, dziecinko – orzekł jednak. Znów przybrał kamienną twarz i wycedził do Wilka stanowczo: – Za wysokie progi na twoje nogi, chłopcze. Idźże ty do domu.

Pierwszy raz w życiu nie uciekł w postać wilka. Wśród burzy rozbijającej się już o otaczające dolinę góry, na słaniających się, lecz wciąż odzianych ludzko nogach, mijał wygon, łąki i zatopił się w lesie. Umysł i serce nie nadążały jeszcze za tym, co zaszło. W otępieniu Wilko dowlókł się do stóp wodospadu i tam, na brzegu kotła wypełnionego wodą, osunął się na kolana. Twarz niemal wpadła w toń, zatrzymana tuż przed taflą ostatkiem przytomności. W ciele huczało. Wzburzone, stare uczucia, tak silne, znów wzbierały w duszy i ciele, a nazywały się: ból wygnania, odrzucenie i pogarda. Podchodziły Wilkowi do przetyku, dławiąc. Wreszcie nie utrzymał ich i zapłakał na głos.

Łzy wpadały do kotła u stóp wodospadu, zaznaczając na tafli wody równe kręgi. Zaraz potem ostatecznie zagłuszyły je krople deszczu, który oto zaszemrał w dolinie.

Kiedy ściana ulewy falą i gwałtownym szumem nadeszła od lasu, Wilko płakał już jak dziecko, kuląc się na brzegu.

Burza, która szalała nad górami była wyjątkowo łagodna. Mieszała się z podmuchami wiatru. Zaś woda opływała krainę, szybko zagłuszając wszelki płacz i zatajając łzy. Twarz wilkara, nawet przed nim samym, była teraz zwyczajnie mokra od deszczu. Nikt by nie poznał...

Ochłonawszy nieco, podniósł oblicze, wystawiając ku niebu. Dawał się obmywać jeszcze dobrą chwilę. Wreszcie zrzucił przyklejoną do ciała koszulę i oblepiające nogi spodnie. Złożywszy przemoczone gałganki na brzegu, dał nura w burzę teraz topiel.

Woda wobec schłodzonego burzą powietrza zdawała się wręcz ciepła. Wilko otworzył oczy w głębinie, a wtedy ta rozświetliła się z nagłą, jakby magicznie. Wystraszony oślepiającym blaskiem, chłopak odbił od dna i wkrótce łapczywie zaczerpnął powietrza na powierzchnię. Nad światem przeszedł dudniący grzmot.

Piorun. Zwykły piorun. A na ten widok wilkar odetchnął. Zaśmiał się nawet z siebie pod nosem, że tak się uląkł. A potem znów zanurkował, napawając się kojącym dotykiem ciepłej wody na ciele. Z czasem zdało mu się nawet, że odmęty świadomie głaszczą jego uda, pośladki... Zastygł na to ciekawie. Wynurzył głowę, trwając bacznie wobec osaczających go żywiołów.

Burza bawiła się światłem i dźwiękiem, raz po raz wszczepiając w rzeczywistość świata magię pochodzącego gdzieś z nieba blasku. Woda zaś, na przemian jasna i stalowa, wyraźnie bawiła się nagością chłopaka. Zatrzymała go. Coś w niej oplatało wyczulone ciało, muskając coraz przyjemniej. Wilko przełknął ślinę, czując szybciej pulsującą krew. Tajemnicza siła w głębinie... pieściła go.

Ocknął się ostatkiem przytomności.

Zaniepokojony reakcją ciała, rzucił się, chcąc już jak najszybciej znaleźć się na brzegu.

Kilka razy jeszcze boski blask pioruna fosforyzował głębinę, a niebo grzmiało. Ale młodzieniec zdołał dopłynąć do przybrzeżnych skał i uchwycił się ich mocno.

*Wilko... Wilko...*

W szumie deszczu, nowy szelest wyścielił jego uszy.

*Wilko...*

Pospiesznie przetarł uszy, pewny, że to woda w nich sprawia te omamy. Ale wtedy zauważył ponury kształt, który, gdyby nie zorane ulewę lustro wody, odbijałby się wyraźnie z brzegu tuż za chłopakiem. Zwłaszcza groteskowy, kiedy kolejny piorun rozświetlił niebo.

*Wilko... Wilko...* Głos splótł się tym razem z grzmotem. A chłopak obejrzał się gwałtownie na drzewo, które chyliło się z tyłu.

– Wierzbowa Boginka... – wyszeptał.

Tajemniczy twór w nocnym świetle jeszcze bardziej upodobił się do kobiety. Długie witki poruszał wicher, a mokry pień wśród błysków burzy wyraźniej uwypuklał wszelkie człekopodobne kształty.

Wilko dobrą chwilę tkwił w wodzie u stóp Boginki, nie wiedząc, czy czuje strach, czy... tęsknotę.

Nagle drzewo jakby spojrzało nań również. Gałęzie zwisające, niczym włosy, nieznacznie rozchyliły się. W ich cieniu zarys niemal ludzkiej twarzy ciekawił chłopaka coraz bardziej.

Pomyślał, że to wiatr poruszył wierzbą. A wtedy szept znów odbił się od wody:

*Wilko... Wilko...*

Zapomniawszy o świecie, młodzieniec wyskoczył z wody i zastygł na brzegu, tuż przed Wierzbową Boginką. Łagodne muśnięcie gałęzi na pośladkach zachęciło go do postąpienia ku niej. Tak też uczynił, poddając się dotykowi i nie mogąc odwrócić wzroku od Boginki. Wierzbowe witki przesuwały się coraz odważniej po udach chłopaka, w ten sam dający przyjemność sposób. Powoli pełżyły wyżej.

*Wilko... Wilkomir...*

Nieznacznie drgnął na nowe brzmienie imienia.

*Wilko...*

– Wilko! Wilko! Gdzież ta gadzina szwenda się przy burzy?

Ocknął się. Otrząsnął. Cofnął w następną, przytomniejszą nieufności i obcości wobec drzewa.

– Wilko!

Pojaśniał. Zaśmiał się cicho do siebie.

– Idę, pani! – krzyknął. Potem obrócił się na pięcie, posyłając Wierzbowej Bogince ostatnie spojrzenie i dał nura w kocioł wody, płynąc wnet do swej pani, która to oto stała nad wodą od strony lasu.

Była przemoczona i wyglądała jak pokraczne, nieopierzone, nieco przerośnięte ptaszysko. Ale na jej widok i dźwięk mamrotania twarz Wilka opromieniała.

– Jestem, pani – wysapał, wynurzając się u jej stóp.

– Widzieli go! Kąpiele sobie urządza w burzę! – rozgderła się.

A potem ruszyła do domu, nie czekając, aż zgarnie mokry przyodzievek i dogoni ją.



Odchodząc, chciał jeszcze odwrócić się ku Wierzbie. Tak z ciekawości. Ale...

– Ani mi się waż. – usłyszał nagle z ust wiedźmy.

I... posłuchał swej pani.

W chacie iskry znad paleniska ulatywały w zawieszony nad nim świeży płat skóry mający je łapać. Wilko śledził je z postanienia, niemal już suchy. Słuchał deszczu, który jeszcze pozostał w dolinie po odejściu burzy.

– Pani, czy ja się stałem... чуцілиwy?

W duchu zaśmiała się, nieco westchnęła. Ale na zewnątrz wciąż tylko niosła ku niemu właśnie posłodzoną miodem, zaparzoną lipkę. Ze spokojem usiadła na skraju jego postanienia, stawiając napój obok, by nieco ostygł. Czekwała chwilę, a on, bezpieczny wobec jej pobłażania, poprawił się tak, by móc złożyć głowę na kościstych kolanach pani. Ale tym razem tak, by widzieć jej twarz. Zmrużył złote oczy w ukojeniu, gdy, swoim zwyczajem, jąta gładzić go po włosach. Uśmiechnął się prosto do niej.

– Co by nie rzec, Wilko – zaczęła ciepło, z miłością w starczych oczach – serduszko moje jesteś.

– A ty moje, pani.

Najpierw zaskoczył, a potem bardzo ją tym ubawił.

Zaśmiali się oboje beztrósco.

Granatowe chmury zasłaniały jeszcze księżyc. Noc była wilgotna i coraz chłodniejsza. Las ociekał z deszczu.

Huk wodospadu po burzy natężył się, a jezioro u jego stóp zmętniało po ulewie. W głębi-



**Agata Kasiak** – autorka powieści *Baśń o Wilczej Dolinie, Wiedźma z Bronaczowa, Radosna Nowina i Mogiłka*.

nie, przy brzegu korzenie wierzby z lubością poity się nowym smakiem wody, którym ta tchnęła po kąpieli młodzieńca. Łaknęły go coraz mocniej, nie mogąc nasycić spragnionego drzewa.

Kiedy o północy deszcz ustał, tafla wygładziła się, marszcząc jedynie raz po raz na skutek ostatnich kropli spływających z długich witek wierzby rosochatej przycupniętej na brzegu.

Kap. Kap.

Kap.

Cisza.

Lustro wyostrzyło obraz odbitego oblicza. Długie warkocze rozstały się, zdrewniałe wypukłości w korze rozchyliły niczym powieki. Boginka otworzyła oczy.

*Wilkomir...*



# Давай Полюс, поиграем в дурака (Dawaj Polak, zagramy w du- raka)

Mateusz M.R. Rogalski

„Kiedy tylko usłyszałem, że kolejny numer „Daję Słowo” będzie miał podtytuł *W Orient Expressie*, od razu wiedziałem, że muszę coś napisać. Przecież jechałem, byłem, wiem, to się wypowiem”.

Dokładnie tak powinien brzmieć początek tego felietonu. Niestety, *Orient Expressem* nie jechałem, nie byłem, nie wiem, ale oczywiście jak to na Polaka przystało – się wypowiem. A dlaczego: a no dlatego, że kiedyś miałem nieopisaną przyjemność spędzenia siedmiu dni i siedmiu nocy w pociągu. Nie, nie był to pociąg do Skierniewic przez Koluszki. Siedem dni i siedem nocy spędziłem w Kolei Transsyberyjskiej, wracając z Władywostoku do Moskwy. Tak, wracając. Wcześniej udało mi się tam dojechać w pojedynkę – przez dwa miesiące pokonałem motocyklem ponad 13 tys. km. Podróż marzeń – tak ją wtedy nazywałem. Jednak był to inny świat, inne czasy, inna Rosja, inny ja.

Nie zamierzam Was tu zanudzać opisem całej podróży pociągiem i nie-

udolnym porównaniem mijanych stacji: Sztambuł-Władywostok, Mediolan-Chita, Wenecja-Irkuck, Belgrad-Omsk, Paryż-Moskwa. Nawet moja rusofilia nie wzniosłaby się na takie wyżyny fascynacji tym krajem i propagandy jego wielkości. Zresztą, raz jeszcze powtórzę z premedytacją: siedem dni i siedem nocy w przedziale sześćoosobowym ze składanymi kuszetkami. Jakakolwiek próba opisanie tej przygody byłaby ni mniej ni więcej porównywalna do próby opisanie orgazmu. Wielu próbowało, ale każdy kto go przeżył w rzeczywistości, wie, że żaden z opisów nijak ma się do tego doznania.

A zatem o czym będę pisał? Opiszę Wam jedynie jedną z wielu przygód, jakie mi się przytrafiły podczas tych fantastycznych siedmiu dni i siedmiu nocy w Kolei Transsyberyjskiej.

Było to drugiego dnia podróży, kiedy z osobami z mego przedziału udało mi się już dość dobrze *ознакомиться*. W porze idealnej na herbatę do naszego przedziału

podszedł żołnierz. Celowo nie piszę wszedł, bo w najtańszej klasie przedziały w wagonach nie posiadają zamkniętych drzwi. Nie będę się postugiwał stopniami wojskowymi, gdyż ani ma wiedza z zakresu wojskowości Federacji Rosyjskiej, ani znajomość języka rosyjskiego mi na to nie pozwalają. Wracając jednak do żołnierza. Przyszedł, rozejrzał się po moich nowo poznanych towarzyszach i wprost zapytał o Polaka. Ciężko było udawać, że się nim nie jest, kiedy nagle siedem par oczu odruchowo spojrzało w moją stronę. Piątka osób z mego przedziału plus dwie przypadkowe, które akurat się dosiadły z kartonem czereśni i samogonem. Sami rozumiecie, że takich gości się nie wyprasza.

Wstałem, wyprostowałem się jak strzała i nawet chciałem zasalutować nieudolnie, ale rychło w czas przypomniałem sobie, że żołnierz ze mnie taki jak z Mongoła kompan do picia alkoholu (celowe porównanie wyjaśnione w dalszej części felietonu). Okazało się bowiem, że wieść o moim pobycie w przedziale rozeszła się na inne wagony i trafiła do czujnych uszu przełożonego tego oto żołnierza. Wspomniany wyżej przełożony życzył sobie spotkać się ze mną i zapraszał do swego przedziału. Zapewne tak jak Wy teraz, ja wtedy czułem podniecenie i dumę, a ze strachu zwieracze niemal mi nie puściły. Jednak, tak jak i Wy posiadam coś

takiego jak instynkt samozachowawczy i silną wolę. Na moje nieszczęście, w tamtej chwili wola z instynktem się połączyły i nie pozwoliły mi popuścić, a silnej jak na złość mi zabrakło. Poszedłem.

Zaprowadzono mnie do wagonu klasę wyżej. Oczywiście, wciąż nie były to takie wagony, jakie sobie wyobrażacie. Żadnych atlasów, białych obrusów, ścian z najdroższego drewna inkrustowanych ciul wie czym. Na miejscach obitych wytartą imitacją pluszu siedziało trzech mundurowych. Dwóch spojrzało na mnie z politowaniem i westchnęło donośnie. Trzeci był roslłym, młodym mężczyzną, szerokim w barach, o żółtej karnacji i skośnych oczach. Pomędzy nimi znajdował się prowizoryczny stolik zrobiony z wojskowej skrzyni, na której leżały karty, metalowe kubki, flaszki pełne przezroczystego płynu, cebula i smalec. Okazało się, że ten ze skośnymi oczami był ich dowódcą i to on właśnie chciał się koniecznie ze mną widzieć.

Nim poinformowano mnie o przyczynie mojej wizyty i pozwolono usiąść, wręczono metalowy kubek z przezroczystym płynem, który musiałem opróżnić do dna, krztusząc się ku wielkiej uciesze skośnookiego. Po drugim kubku dowiedziałem się, że ich dowódca jest Mongołem, a jego dziadek stacjonował w Legnicy. Ten wątek obu nam przysporzył wiele radości. A to

ponieważ urodziłem się w Lubinie, dwadzieścia pięć kilometrów od Małej Moskwy, a licencjat ze służb publicznych robiłem w radzieckich koszarach przerobionych na PWSZ im. Witelona. Taka sytuacja.

Po kolejnym kubku, pitym wolniej i na trzy razy, dowiedziałem się, że będziemy grać w grę karcianą. Zostałem wezwany w zastępstwie za żołnierza, który znajdował się pod mą kuszetką i donośnie pochrapywał. Przypomnę, że mój rosyjski był na poziomie Kalego, który chce i umieć cyrylicę równie wprawnie co system zero-jedynkowy. Ku nie ukrywanemu niezadowoleniu mego partnera w grę tę grało się parami. Czyli ja i Maksim przeciwko Mongołowi i Kiryłowi.

Wynik początkowy nikogo chyba nie zaskoczy. Mongoł wygrywał raz za razem, a każde zwycięstwo świętował okrzykiem *дырак* i kolejnym opróżnionym kubkiem z samogonem. Niestety dla dowódcy, Maksim okazał się cierpliwym i sprytnym nauczycielem, który w wojsku był z przymusu, nie z potrzeby. W trakcie gry, w sposób niewidoczny dla Mongoła, wyjaśniał mi, na czym ta gra polega, co i kiedy może być atutem i jak należy go zagrać podczas wspólnego ataku.

Kiedy pierwszy raz doszło do naszego zwycięstwa, Mongoł z uśmiechem na twarzy opróżnił kubek, mamrocząc coś pod nosem w taki sposób, że kom-

pletnie nie potrafiłem go zrozumieć. Po kolejnym zwycięstwie pod rząd, żołnierz, który mnie tu przyprowadził, stanął nade mną, wkładając kciuki za pas, do którego miał przyczepioną kaburę z bronią. Ja jednak byłem już zbyt pijany, aby zrozumieć w pełni zaistniałą sytuację. Na całe szczęście grający ze mną Maksim zrugął go oraz całą jego rodzinę do trzeciego pokolenia wstecz. Tak przynajmniej rozumiałem komendę *собака ебать твою бабушку*. Jednak chwilę później, Maksim pochylił się nade mną i nie odwracając wzroku z ledwo siedzącego już Mongoła, poinformował, że to jest najlepszy moment, abym sier..., o ile chcę dojechać do swojej stacji, która nie będzie końcową stacją mojego żywota. Nigdy w życiu nie doprowadziłem się do takiego stanu upojenia alkoholowego, aby przestać cenić swoje życie. Dopiełem zawartość kubka, ukloniłem się Maksimowi i pośpiesznie opuściłem ich wagon.

Następnego dnia obudziłem się w swoim przedziale, ale na kuszetce Kanata, podobno na swoją nie mogłem się wdrapać. Dowiedziałem się także, że tuż nad ranem, na rozkaz Mongoła, cały pociąg został przetrzepany w poszukiwaniu Polaka. Kiedy jednak żołnierzom nie udało się mnie odnaleźć, ich dowódca wpadł w szał. Dodatkowo próbował zatrzymać awaryjnie cały pociąg, przeświadczony, że przespał stację, na której mieli wysiąść. Za co



# Nie pusta wydmuszka, lecz postać z krwi i kości

Karolina Salwowska

Niezaprzeczalnie myślenie ludzi Wschodu i Europejczyków jest diametralnie inne. Zaczynając od filozofii, poprzez architekturę i sztukę, na samym stylu życia kończąc. Doskonale ową inność pokazuje kultura Japonii: w porównaniu z europejskim przepychem w domach Japończyków panuje minimalizm. Jednak nie dajmy się zwieść tej na pozór poukładanej i minimalistycznej filozofii, gdyż kultura Japonii to nic innego jak niekończący się dualizm. Przepych miesza się z prostotą, a tradycja z nowoczesnością – innowacja nie wyklucza tradycji.

Jednak kraj ten urzekł nie tylko swym pięknem i wynalazkami, lecz wręcz zaraził świadomość młodych Europejczyków swoją egzotyką, co również w Polsce widać doskonale na przykładzie rosnącej popularności mangi i anime. I choć znalazłoby się wielu, którzy krytykowałiby japońskie animacje przy użyciu często nieadekwatnych argumentów, to zarówno anime, jak i manga podbijają rynek Europy i nie tylko innowacyjnym podejściem do pisania historii i ukazywania bohaterów.

W wielu produkcjach kładzie się nacisk na emocjonalną, wewnętrzną przemianę i rozwój bohatera – w przeciwieństwie do niektórych zachodnich tworców, gdzie to czytelnik/widz ma się utożsamić z bohaterem. Osobowości postaci komiksów są jasne, mocne i wyraźne oraz, idąc za japońskim dualizmem, podszyte tajemnicą i to dzięki temu jesteśmy w stanie kibicować zarówno protagonistom, jak i antagonistom.

Tak! Kibicować! Często to widz nie tyle wczuwa się w bohatera, co bohater staje się jego przyjacielem, bo w wielu seriach przeznaczonych dla młodszych odbiorców bohaterowie, nie licząc walki z często potężnym złem, przeżywają jak najbardziej naturalne i codzienne dramaty, które odbiorcę jedynie do nich zbliżają.

Bohaterowie anime i mangi nie są idealni! Idealny bohater to zhora, jakiej doświadczamy często w literaturze amerykańskiej skierowanej do czytelników w wieku 13-15 lat, gdzie główny bohater jest pozbawiony jakichkolwiek wad. Zawsze najlepszy, najważniejszy i nic nie jest w stanie mu przeszkodzić.

Najczęstszą wadą w przypadku bohaterów mang shōnen – serii przeznaczonych dla młodych chłopców – jest głupota protagonisty (co trzeba zaznaczyć: nie chodzi tu o głupotę w negatywnym aspekcie, lecz dziecinną głupkowatość i wygłupy) często połączona z nadmiernym obżeraniem się. Jednak ten powierzchowny niedostatek rozumu to nie przywara, lecz często ważna cecha! Bo może i nie rozwiążą trudnych działań matematycznych, są frajerami, których można nabrać na byle numer, czy nie przejmują się za bardzo problemami dorosłych, jednak kiedy sytuacja staje się krytyczna, to taki bohater postawi wszystko na jednej szali, by ocalić przyjaciół i swoje marzenia.

Walka o marzenia, przyjaciół i rodzinę to podstawa wielu kultowych serii.

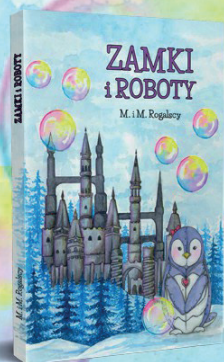
*Naruto* mówi o chłopcu, który robi, co w jego mocy, by spełnić swoje marzenia, nawet jeśli dorośli w niego nie wierzą i traktują jak klauna i głupka. Jednak on nie pójdzie na skróty, tylko zawalczy o ideały ciężką pracą i samodoskonaleniem.

Czy sam Son Goku – bohater *Dragon Ball*, który to ciężką pracą pokazał, że można sięgnąć po to, czego się pragnie i spełnić najskrytsze życzenie!

To tylko kilku z tysięcy bohaterów, którym towarzyszy podobne przesłanie. A różnorodność przekazów i nieskończone pomysły na historie sprawiają, że piękne wartości są podawane w przystępny dla młodzieży sposób.

Ale anime to nie tylko bajki dla chłopców. Wśród niezliczonych tytułów znajdziemy przykładowo *Tokyo Ghoul* – serię o niezwykle trudnych wyborach moralnych z doskonale zarysowanymi bohaterami. Ich cierpienie ukazane na kartach książek sprawia, że czytelnik odczuwa żal i smutek. A wszystko to dzięki uzewnętrznianiu bohatera.

Japończycy to bardzo zamknięty w sobie naród, nieokazujący zbyt wiele emocji. Toteż w opozycji tworzą nieszablonowe opowieści pełne emocji. Nieraz, czytając mangę czy oglądając kolejną serię anime, wręcz czułam prawdziwy smutek towarzyszący postaciom, czy też odwrotnie – kiedy



# ZAMKI i ROBOTY

M. i M. Rogalscy

Bajka wymyślona przez sześciolatkę  
niehamującego swojej wyobraźni





postacie cieszyły się, to i ja odczuwałam radość. Nie dlatego, że utożsamiałam się z jednym z bohaterów. Ja czułam, że te postacie są mi bliskie jak przyjaciele – bo prześledziwszy kolejne strony mangi, zdążyłam ich poznać i polubić.

Na zakończenie mogę jedynie zachęcić do zapoznania się z jednym z tysięcy tytułów. Ale aby nie robić większego zamieszania, od serca mogę polecić *Fullmetal Alchemist* – doskonały dramat przygodowy o dwóch braciach chcących odzyskać to, co utracili przez swoją nierozwagę.



**Karolina Salwowska** – Autorka serii *Black Star*. Artysta cyfrowy, studentka animacji i sztuki nowych mediów.



fot. Gracia Dharma, źródło: unsplash

# Tybet

Marta Kirin

Tybet – kraina wiecznych śniegów – pełna oświeconych ludzi, mówiących w kółko mantry i zachowujących pozytywne nastawienie do życia nawet w obliczu tragedii. Kraina ukryta wśród najwyższych gór świata. Niedostępna i magiczna.

A gdybym Wam powiedziała, że Tybet to miejsce zamieszkałe przez normalnych, przeciętnych ludzi? Uwierzilibyście mi? Przez lata karmiono nas wizją tybetańskiego oświecenia. Nic dziwnego, diaspora i rząd na uchodźctwie chcą nam przekazać wiadomość: Tybet, kraina pokoju zaatakowana i poddawana chińskiej opresji powinna być wolna. Ja się w pełni zgadzam z tym przesłaniem. Tybet został zagarnięty wbrew woli jego mieszkańców. Uważam jednocześnie, że wizja pokojowego i mantrą płynącego kraju wcale nie pomaga. A wręcz przeciwnie, sprawiła, że Zachód widzi w nim jedynie mistycyzm. A Tybet jest czymś więcej.

Kiedy myślę o Tybecie, przypominają mi się studia na Uniwersytecie Warszawskim. Mongolistyka i tybetologia przyciąga faktem, że mało o tych krajach się mówi – nie tak jak o Japonii czy Korei. Szybko się okazało, że zarówno Mongolia jak i Tybet stały się moją pa-

sją. Uczenie się języków i kultury oraz poznawanie historii i ludzi z tamtych rejonów są zderzeniem rzeczywistości z wizją mistycznego państwa pokoju.

Tybet często zajmuje moje myśli. Widzę zdjęcia gór, świątyń, wielkich budowli i zwykłych ludzi. Słyszę w uszach powtarzane przez mnichów mantry. Widzę wielkie jaki niosące na swych grzbietach sól. Słyszę śpiew tybetańskich kobiet i widzę ich warokcze. I choć prawdopodobnie nigdy nie poczuję na własnej skórze wiatru hulającego w przełęczach Tybetu, który porusza różnokolorowe modlitewne flagi – czuję nić połączenia oraz ciężar historii tego kraju i drzę o jego przyszłość.

Historia Tybetu pełna jest wzlotów i upadków. Za czasów Imperium Tybetańskiego (tak dobrze przeczytaliście, imperium!) to właśnie oni dyktowali warunki w regionie. Ich wielka armia zagrażała nawet Chinom. Później zostawiony sam sobie Tybet rozwijał się duchowo, ale był targany wewnętrznymi konfliktami między szkołami buddyjskimi. Tak! Mnisi ze sobą walczyli! Byli tak osłabieni, że sam Czyngis-chan nie interesował się Tybetem. Później Tybetańczycy zaskarbili sobie ochronę

mongolskich armii unikalnym politycznym układem zwanym patron-kapłan. Duchowni z krainy śniegu nawrócili mongolskich wojowników na buddyzm i pozostawali przez wieki w bliskich stosunkach. Później byli pod władaniem mandżurskiej dynastii Qing, która rządziła Chinami. Ta władza jednak była jedynie symboliczna, ponieważ Tybet rządził się sam. Nastąpił też okres krótkiej współczesnej niepodległości za czasów XIII Dalajlamy. Można by rzec, że teraz Tybetańczycy pierwszy raz w historii zostali przyparci do muru.

Obecnie jest to kraj znajdujący się pod zaborem mocarstwa, tak samo jak Polska niegdyś znajdowała się pod zaborem kilku państw. Chińska Republika Ludowa zagarnęła tereny Tybetu i narzuciła swoją politykę oraz zasady społeczne. Rodziny nomadów tybetańskich żyjące według rytmu natury, samowystarczalne, zostały zmuszone do posiadania więcej bydła i produkowania większej ilości produktów odzwierzęcych. Małżeństwa poliandryczne (jedna żona, kilku mężów) posiadające dużą liczbę dzieci zostały ograniczone do związków monogamicznych i zezwolono im mieć więcej niż jedno dziecko – całe dwa. Religia buddyjska, która była ważna od wieków, została stłamszona. Jeśli ktoś Wam powie, że to wcale nieprawda, że Tybetańczycy mogą praktykować swoją religię i pokazać zdjęcia Tybetanek i Tybetańczy-



**Marta Kirin** – z wykształcenia i zamiłowania tybetolożka. Fascynatka sztuk walk, filmów i wszelakiego rodzaju fantastyki. Pisarka, self-publisherka. Zadebiutowała powieścią s-f w 2022 roku. Aktualnie pracuje nad drugim tomem trylogii *Czarna Łza*.

ków robiących pokłony przed klasztorami, to możecie popukać się w czoło. Tybetańczycy wierzą, że Dalajlama jest najwyższym nauczycielem buddyzmu tybetańskiego. Tymczasem za posiadanie choćby jego zdjęcia mieszkańcy chińskiego Tybetu mogą zostać aresztowani, zesłani do kopalń lub po prostu zniknąć. Tak nie wygląda wolność religijna. Tak wygląda opresja wobec religii. Zakazuje się nauki języka tybetańskiego. Świat niedawno oburzał się szkołami dla rdzennych Inuitów w Kanadzie – takie szkoły teraz istnieją w Tybecie. Dzieci zabierane są rodzicom i indoktrynowane politycznie. Kobiety są przymusowo sterylizowane. W ramach rozpaczliwego protestu zarówno

młodzi jak i starzy Tybetańczycy dokonują samospaleń. Głodówki i liczne protesty diaspory tybetańskiej nie wywierają żadnego wrażenia na arenie polityki międzynarodowej. Olimpiada w Pekinie nie została zbojkotowana.

Tybetańczycy w swoich działaniach są bezsilni.

Bezsilność jest groźna. Prowadzi ludzi do skrajnych wyborów. Bo jeśli nikt nie zauważa spokojnego protestu, to ludzie zaczynają krzyczeć. Martwię się i boję, do czego to wszystko

doprowadzi. Zwłaszcza, że Dalajlama zrezygnował z prowadzenia rządu na uchodźctwie i stwierdził, że prawdopodobnie nie reinkarnuje się w następnym wcieleniu. Tybetańczycy zostaną pozbawieni więc głosu hamującego radykalne kroki. Co z tego wyniknie? Jestem pełna obaw. Ludzie przyparciu do muru w krytycznych sytuacjach podejmują trudne i radykalne kroki, żeby wywalczyć swoje.

Obym się myliła.

*miłosna dylogia*

*romans mafijny*



*satyryczna  
komedia fantasy*

*mroczno-erotyczne  
urban fantasy*

Zamów z dedykacją, autografem i gadżetami na

[www.dbforys.pl](http://www.dbforys.pl)

z kodem WITAJ 5% taniej

# Tybet jakiego nie znacie – wywiad z autorką Martą Kirin

Kamila Goszczyńska

**Jesteś po mongolistyce. Skąd taki pomysł na studia, skąd fascynacja tymi rejonami?**

Trenowałam taekwondo od dzieciaka, no, od 13-14 roku życia, i przez to zaczęłam interesować się bardziej Koreą, bo stamtąd pochodzi taekwondo. A że ja byłam zafascynowana historią, całą tą otoczką i językiem, bo też pisałam znaczki, które mieliśmy gdzieś tam w notatkach, to pierwotnie chciałam iść na koreanistykę. To było moje marzenie. Uczyłam się, jeździłam na zajęcia językowe i czytałam książki, ale niestety na koreanistykę się nie dostałam. (śmiech) Więc szukałam planu B i na początku nie zakładałam, że pójdę na jakiegokolwiek inne studia, tylko zrobiłam sobie rok przerwy, żeby poprawić maturę i pójść na koreanistykę na następny rok, ale to też się nie udało. Już wtedy jednak byłam trochę mądrzejsza i składałam papiery też na różne inne dziwne kierunki i stąd wyszło, że mongolistyka i tybetologia brzmią ciekawie. Tam się dostałam. Dostałam się też na milion innych kierunków, na które się pozapisywałam,

ale akurat jak miałam podjąć decyzję, czy iść tu, czy tu, to w telewizji szedł film biograficzny o Dalajlamie i się tak wkręciłam. Powiedziałam: „Nie, no muszę na to pójść” i stąd ta decyzja. Studia wzbudziły te zainteresowania i do dzisiaj się tego trzymam.

**Okej, czyli Tybet przede wszystkim?**

Jest to kierunek łączony, więc uczymy się i o Tybecie, i o Mongolii. Wbrew pozorom to bardzo dobre połączenie. Te kraje mają wspólną historię i dzielą niektóre elementy kultury. Większość studentów idzie ze względu na tybetologię, a potem bardzo dużo osób skręca na mongolistykę i ja też byłam taką osobą. Skręciłam na mongolistykę, bardziej język przyswoiłam, bardziej kultura mnie interesowała, a potem już po studiach zawróciłam na tę tybetologię i zaczęłam więcej o tym czytać i teraz jestem bardziej team Tybet.

**No właśnie powiedz, co z tym Tybetem. Co takiego wyróżnia Tybet spośród innych rejonów Azji?**

Hmm, to jest ciekawe pytanie. Przede wszystkim wydaje mi się, że oni są troszeczkę kulturą izolowaną, bo mieszkają bardzo wysoko w górach i ta kultura się rozwijała niezależnie od wszystkiego innego. Oczywiście przyjeżdżali tam ludzie z Indii czy z Chin, czy biali ludzie, to nie jest tak, jak się przedstawia, że Tybet był zupełnie zamknięty i tam nikogo nie było, ale przez to właśnie, że oni są tak wysoko i trudno dostępni, to u siebie rozwijali inne podejście do życia, do kultury. Wyróżnia się przede wszystkim na tle religijnym, bo buddyzm tybetański jest trochę inny niż buddyzm, który kojarzymy z Japonii czy z Korei. Wyróżnia się strukturą społeczną, bo jest taka ciekawa, zupełnie różna od tej w Japonii na przykład, gdzie byli samurajowie. W Tybecie nie było czegoś takiego.

### **A co było?**

Tego też sporo osób nie wie, ale w Tybecie było imperium tybetańskie czy królestwo, to się różnie tłumaczy, i oni byli dużym agresorem swego czasu, tak że nie byli to tylko Tybetańczycy miłujący pokój, ale mieli armię, podbijali ziemie. Mało się o tym mówi, ale właśnie to jest dla mnie ciekawe historycznie. Jakbym chciała napisać kiedyś książkę historyczną, to chyba o tym okresie. (śmiech)

### **Czy to imperium ma coś wspólnego z pałacem Potala?**

Nie, imperium było zdecydowanie wcześniej, VII–IX wiek. Pałac Potala został zbudowany przez Dalajlamów, czyli to już jest późniejszy okres. Co ciekawe, historia Tybetu nie rozdziela się na okresy jak w Europie, że była starożytność, średniowiecze i tak dalej. U nich się rozdziela według buddyzmu, czyli mitologia jest pierwszym, dużym okresem czasowym, gdzie po prostu nie wiemy, co tam się działo i są snute opowieści o tym, potem mamy okres pierwszego rozpowszechnienia buddyzmu i okres drugiego rozpowszechnienia buddyzmu. To wszystkie ery, jakie mamy w historii tybetańskiej. Całe trzy.

### **Ciekawe.**

Zawsze mnie to ciekawiło, dlaczego tak i dlaczego ten drugi okres rozpowszechnienia buddyzmu trwa do dzisiaj.

### **A w takim razie dlaczego pałac Potala jest nazywany cudem świata?**

Przede wszystkim, co jest najbardziej fascynujące, to jest najwyżej postawiony budynek przez człowieka na ziemi. Stoi na wysokości 3700 metrów n.p.m. Oprócz tego był budowany przez 50 lat, więc jest w niego włożony ogrom pracy. Zaczęto go budować w roku 1645 i jest tak monstrualny, że ma 400 metrów w jednym kierunku, 350 metrów w drugim, co nam daje 130000 metrów

kwadratowych powierzchni użytkowej. Tam się mieści kilkanaście kapliczek, są liczne pokoje. Jest piękny i składa się z dwóch części: białego pałacu i bordowego, i to jest funkcyjnie porozdzielane, więc jest to super ciekawe. Chciałabym kiedyś go zobaczyć na żywo. Dla samych Tybetańczyków stanowi symbol, bo tam kiedyś mieszkali Dalajlamowie, to była ich główna rezydencja. Jeszcze mają drugi pałac, który jest troszeczkę mniejszy. Jak Tybetańczycy przyjeżdżali do Lhasy, czyli stolicy Tybetu i widzieli ten budynek, a mieszkali w wiosce na zboczu góry, pozostawiali pod wrażeniem, że ich rodacy byli w stanie coś takiego wybudować. Już samo to było wielkim osiągnięciem.

### **Na pewno. A czym wyróżnia się język tybetański?**

(śmiej) Przede wszystkim jest strasznie trudny. I uznawany za najtrudniejszy język w wersji pisanej, ponieważ zupełnie inaczej się go pisze, niż wymawia. Żeby załapać, jak się czyta te znaki... co prawda są tam tylko 34 znaki, które mają swoje znaczenie i jak widzisz ten znak, to go rozumiesz, ale są też litery, które są nadpisane, przypisane, podpisane i w momencie, kiedy one się pojawiają, zmieniają kompletnie wymowę całej litery. To jest szalenie trudne. Jeśli chodzi o wymowę, to istnieje kilka dialektów, których używają i one są też zu-

pełnie różne od siebie, bo wpłynęło na to ukształtowanie terenu. Mieszkańcy wioski rzadko do siebie docierali, więc ten język się inaczej rozwijał w różnych rejonach.

### **Ale są w stanie się porozumieć?**

Czasami tak, bo słowa są podobne, a czasami nie, bo mogą używać zupełnie innych struktur gramatycznych.

### **Aha.**

Ja, na przykład, uczyłam się klasycznej odmiany, w której zapisywali teksty buddyjskie, tłumaczyli je z indyjskiego, z sanskrytu, ale istnieje zupełnie inna wersja języka, którą znamy jako współczesny tybetański, w której pojawia się dużo nowoczesnych słów. Uczyłam się i tej, i tej odmiany, więc mogę porównać i powiedzieć, że współczesny jest czasem śmiesznie używany, bo na przykład wymyślają różne słowa, które mogłyby coś określić. Tłumaczyliśmy *Harry'ego Pottera* i było, na przykład, że wujek Harry'ego ma firmę odwiertową i tłumaczenie brzmiało: „wirujące coś tam w ziemi”. Weź tu teraz się domyśl, o co chodzi.

### **Rozumiem. A on przypomina którykolwiek inny azjatycki język?**

Właśnie chciałam powiedzieć, że nie bardzo. To jest rodzina języków chińsko-tybetańsko-birmańskich i on totalnie nie przypomina chińskiego ani japońskiego czy koreańskiego. Ma zupełnie różne struktury gramatyczne. Są co prawda podobne, ale nie w takim stopniu, żeby powiedzieć, że są takie same. Mały kotek to „Simi ciungciung” albo „Cie rang ku suk deło in pe?” – to pytanie „jak się masz?”. Mają też podobne słówka, ale jak słyszę tybetański, to od razu to wiem. Dla mnie się bardzo wyróżnia.

### A kim są Tybetańczycy?

To jest grupa etniczna, nacja, naród tybetański, aczkolwiek jest takie powie-



**Marta Kirin** – z wykształcenia i zamiłowania tybetolożka. Fascynatka sztuk walk, filmów i wszelakiego rodzaju fantastyki. Pisarka, self-publisherka. Zadebiutowała powieścią s-f w 2022 roku. Aktualnie pracuje nad drugim tomem trylogii *Czarna Łza*.

dzenie, że Tybetańczycy sięgają tam, gdzie sięga campa. Co to jest campa? To taki narodowy posiłek, bardziej herbata maślana z jęczmieniem na przykład. Tylko oni, jako jedyni na świecie, to jedzą. Trudno powiedzieć, kim są dziś Tybetańczycy, bo przez to, że Chińczycy ich najechali, teraz tworzą bardzo dużo różnych grup, bo są Tybetańczycy, którzy mieszkają jeszcze w samym Tybecie, są tacy, którzy uciekli razem z Dalajlamą i przebywają w Indiach. Do dzisiaj w Indiach jest największa diaspora, tam znajduje się też rząd tybetański na uchodźstwie. Ale są też Tybetańczycy, których możesz spotkać w Stanach Zjednoczonych, Irlandii, Polsce czy gdziekolwiek na świecie i oni będą się inaczej zachowywać, bo nasiąkają kulturą z państw, w których mieszkają. Niby są Tybetańczykami, przynoszą swoją pulę do kultury, swoje przyzwyczajenia itd., ale jednak już zaczynają się od siebie różnić.

**Wspomniałaś o najechaniu przez Chińczyków. Właściwie przeciętnemu człowiekowi Tybet kojarzy się z tym konfliktem i z górami. Mogłabyś przybliżyć, dlaczego stał się punktem zapalnym?**

Mogłabym wymienić wiele powodów, nawet książki na ten temat powstają, ale moim zdaniem główną przyczyną jest fakt, że w Tybecie,



w Himalajach mają źródła praktycznie wszystkie duże rzeki azjatyckie, więc teraz rząd chiński, mając kontrolę nad rzekami, może sprawniej prowadzić politykę zewnętrzną. Mam dane, że na terenie Tybetu znajduje się 22 000 tam, które mają po 15 metrów wysokości. I teraz oni mogą kontrolować przepływ każdej rzeki, co sprawia, że na przykład w kontaktach z Indiami czy jakimkolwiek innym krajem w Azji mają przewagę, mogą manipulować i wymuszać coś na partnerze politycznym. Ale to nie jest jedyny powód – w Tybecie jest też bardzo dużo złóż minerałów naturalnych, np. złoto, żelazo, cynk, ołów. Tam jest mnóstwo rzeczy, do których trudno się dostać, bo to jednak góry, ale Chińczycy nie mają z tym problemu i rozkopują Tybet, nie patrząc, że to powoduje dodatkowo katastrofę tamtejszego ekosystemu. Rząd chiński traktuje Tybet jako swoje zaplecze produkcyjne.

**Trochę to smutne, ale tak się zazwyczaj właśnie dzieje. Istnieje na szczęście też lżejsza ciekawostka dotycząca Tybetu, która mnie fascynuje od dawna, a mianowicie poliandria.**

(śmiech)

**Popraw mnie, jeśli się mylę, ale chyba jest to jedyna kultura na świecie, która dopuszcza posiadanie kilku mężów.**

Nie wiem, czy jedyna. Aż tak się tym nie interesowałam, ale tak, w Tybecie jest tradycyjny system poliandryczny.

**Skąd się wziął i dlaczego akurat tam?**

Skąd się wziął, jest przedmiotem badań tybetologów od dawien dawna i istnieje kilkanaście teorii, tylko nikt nie wie, która jest prawdziwa. Niektórzy spekulowali, że to dlatego, żeby zmniejszyć lub wyeliminować zjawisko głodu, bo wtedy się rodzi mniej dzieci. Moim zdaniem to jest nie do końca tak i wielu tybetologów też nie idzie w tę stronę. Spekuluje się, że chodzi o dziedziczenie ziemi, żeby to była jasna sytuacja, że najstarsze dziecko dziedziczy ziemię. Jeśli przyjmiemy, że wszystkie dzieci są głównego męża, to wiadomo, że najstarszy syn przejmuje ziemię. Nie ma tu żadnego pola manewru.

**I kobieta przychodzi wtedy do nich?**

Tak. Jeszcze, co ciekawe, te małżeństwa były zazwyczaj aranżowane przez rodziców, czyli kobieta nie wybierała, bracia też nie decydowali. Zazwyczaj rodzice aranżowali związki jeszcze za dzieciaka. Z tego, co czytałam, teraz to się trochę zmienia, już rodzice nie decydują w takim stopniu jak kiedyś. Targują

się, umawiają, ale mają też na względzie uczucia dzieci.

### **A czy jest jakiś limit mężów i na czym ta poliandria w ogóle polega?**

Tam jest tak zwana poliandria braterska, czyli jest jedna żona i kilku mężów i oni są braćmi. Wchodzą w związek małżeński z jedną kobietą i wszyscy mają równe prawa seksualne do kobiety. Z tego małżeństwa rodzą się dzieci i one wszystkie są postrzegane jako dzieci tego głównego męża, czyli najstarszego brata, głowy rodziny. Pozostałych mężów dzieci nazywają wujkami, choć zapewne są oni też ich ojcami. Ten system sprawdzał się w Tybecie przez wiele lat. Dopiero jak rząd chiński wszedł do Tybetu, zakazano poliandrii i zaczęto promować monogamię. Fakt jest taki, że przed Chińczykami nie istniało w Tybecie zjawisko głodu, a teraz się niestety pojawiło. Poliandria zaczęła się wycofywać z Tybetu, aczkolwiek wiem, że na wsiaach, w rodzinach nomadycznych, bo Tybetańczycy to też nomadowie, a nawet głównie, przemieszczający się z jednej góry na drugą, nie dociera rząd chiński i nie jest w stanie ich kontrolować, i tam poliandria jeszcze istnieje. Natomiast Tybetańczycy, którzy wyemigrowali, raczej wchodzą w związki małżeńskie monogamiczne.

### **Opowiadasz bardzo interesujące rzeczy, a ile Azji jest w Twoich książkach? Jak dużo czerpiesz?**

To jest trudne pytanie, bo ja czasami nie zauważam tych związków, a potem ktoś mi mówi: „A, to podobne jak w Tybecie.” (śmiech) Ale dużo czerpię. Przede wszystkim z historii, bo już sama oś mojej książki jest skonstruowana na konflikcie chińsko-tybetańskim. Silniejsze państwo zagarnia słabsze. U mnie wielkie imperium galaktyczne napada na małą planetkę, ale sensu stricto to jest to samo i przyczyny są podobne jak w Tybecie. Korzystam z języka, ale już bardziej z mongolskiego, bo mój czatuski jest po prostu językiem mongolskim. Używam słówek z mongolskiego na określenia typu „przyjaciel” czy nazw



**Kamila Goszczyńska** – doula, czyli asystentka okołoporodowa, i Promotorka Karmienia Piersią, mama, żona i pisarka fantasy, autorka trylogii *Kwiat Datury*.

zwierząt. Korzystam z nich, by nazwać jakieś urządzenie tą nazwą albo planetę. Oraz przekleństwa. (śmiech) Czatuskie przekleństwa to przekleństwa mongolskie. Naprawdę. I imiona. Na przykład mam teraz w drugim tomie bohatera, który nazywa się BaatarTerbisz i jeżeli ktoś zna mongolski, to będzie wiedział, co znaczy to imię i to jest trochę inside joke, ale nie będę tego zdradzać. Używam też znaków tybetańskich, żeby rysować kaligraficznie swoje znaki czatuskie. Tutaj akurat mam mieszaninę koreańskiego z tybetańskim. Korzystam też z ubiorów, bo wyobrażam sobie i opisuję ubiory albo tybetańskie, albo mongolskie. Wzoruję się też na fryzurach. Nawet moje warkoczyki to też jest fryzura poniekąd inspirowana Tybetem i w mojej książce też takie występują na terenie Czatusji. Tak że jest tego mnóstwo. Wiem, że w drugim tomie, który właśnie piszę, będę używać flag modlitewnych, jakich używają Tybetańczycy. Także mnóstwo, mnóstwo, mnóstwo, kopalnia po prostu.

**Super. To czego ci życzyć, oczywiście oprócz podróży do Tybetu?**

Nie sądzę, żebym kiedykolwiek trafiła do Tybetu, bo troszeczkę się jednak boję jechać na teren tybetański, przynajmniej na razie. Na pewno najlepszym życzeniem jest, żeby Tybet był w końcu wolny. Ale chciałabym na pewno zobaczyć kiedyś Mongolię, to też jest jedno z moich marzeń.

**To może się kiedyś wybierzemy razem, bo i mnie tam ciągnie.**

Super, podobno niebo w Mongolii jest piękne! Dlatego jest nazywana krajem niebieskiego nieba, bo tam można mieć wrażenie, że spadnie ci niebo na głowę. (śmiech)

**Dziękuję ci bardzo za rozmowę i tego ci w takim razie życzę – żebyś mogła to zobaczyć na własne oczy.**

Dzięki.



redaktor  
ewa

ewa-skibinska@wp.pl

## #OFERUJĘ

Redakcja, korekta, przystępne ceny, rabaty za powrót, rozsądne terminy.

Zachowuję styl autora, nie uszczęśliwiam tekstu na siłę.

Dla bezpieczeństwa własności intelektualnej autora podpisuję klauzulę poufności.

Udostępniam rekomendacje i portfolio.

# Pierwsza iskra. Szept ognia i popiołu, czyli debiut literacki Justeene Ruston

Sylwia Gudyka

Uwielbiam czytać debiuty i odkrywać nowych autorów. To niesamowite uczucie, kiedy zderzamy się z czymś świeżym i nie zawsze mieszczącym się w naszej strefie komfortu czytelniczego. Tak właśnie miałam z książką autorstwa Justeene Ruston.

Fabula książki utrzymana została w gatunku *fantasy romance* i skierowana jest przede wszystkim do nastolatków i młodych dorosłych, co oczywiście nie oznacza, że starsi będą bawić się gorzej – bo to nieprawda.

*Pierwsza iskra* ma mocno feministyczny wydźwięk i za to książkę pokochałam z automatu. W powieści poruszane są bardzo aktualne problemy społeczne, takie jak: brak równości, ograniczenia praw kobiet, a w zasadzie ich brak, odmienność płciowa, brak tolerancji czy odmienne przekonania religijne; sprawia to, że książka pomimo swojego ułożenia mniej więcej pomiędzy renesansem a pozytywizmem, ma drugie dno, które jest jak najbardziej aktualne.

Główną bohaterką powieści jest Aricia Moragaid, dziedziczka tronu Lavenum. Kraju, który zawsze był odizolowany od wszelkich zewnętrznych waśni, lecz nigdy nie pozwolił na to, by jakkolwiek spisek, czy kryzys nękający świat zewnętrzny mu umknął. Kraj ten, odgradzony naturalną granicą od innych, rozwijał się w sposób niezależny, przez co widać wyraźne różnice



kulturowe, religijne i pogładowe. Aby ochronić swych poddanych, matka Aricii zrobi wszystko, dlatego dochodzi do zawarcia sojuszu z ogromnym państwem – Avolanem. Małżeństwo dwojga monarchów ma tylko ten sojusz przypieczętować. Nie ma tu czasu na romans. Liczy się handel, polityka, zysk i władza. Czy księżniczce wychowanej na monarchinię będzie łatwo odnaleźć się w świecie zdominowanym przez mężczyzn? Czy Aricia odmieni los biednych poddanych, którzy ze względu na krzywdzące prawa żyją w niedostatku? Jak wiele przeciwności losu będzie musiała pokonać ta waleczna kobieta, by spełnić powierzone zadanie?

Aricia zostaje rzucona na bardzo głęboką wodę i gdyby nie to, że na dwór Cair Hill przybyła wraz z najbliższymi przyjaciółmi, pewnie już dawno spakowałyby manatki i byłyby w drodze do domu. Pomimo braku akceptacji ze strony arystokracji i problemów z dopasowaniem się do wymogów pa-

nujących na dworze jej narzeczonego Aricii udaje się nawiązać nić porozumienia z władcą tego kraju Williamem oraz jego rodzeństwem: księżniczką Clarisą i księciem Edmundem. Niestety bunt przeciwko władzy i przyszłej królowej wisi w powietrzu, a to tylko wierzchołek góry lodowej problemów, jakie targają Avolanem.

W książce znajduje się wiele intrygujących wątków politycznych i społeczno-kulturowych, ale także delikatnie prowadzony wątek romansowy, który właśnie dzięki temu, że nie był zbyt nachalny, bardzo mi się podobał. W niektórych momentach płakałam i śmiałam się razem z księżniczką Lavenum. Jedno jest pewne: trudno Wam będzie nie pokochać Aricii! Dojrzałam w niej wiele swoich cech (także nie do końca dobrych, jak choćby zawziętość czy też niesamowita zdolność do wygłaszania nedorzecznych komentarzy). Z kolei postaci władcy Avolanu jak i jego



## SERIA KRYMINALNA

*Baśniowe i słowiańskie wątki  
porywają do głuszy  
wielkopolskich lasów*

[www.monikalitwinow.pl](http://www.monikalitwinow.pl)

brata przywodziły mi na myśl Charlesa Bingley'a i pana Darcy'ego z klasyki literatury, jaką jest *Duma i uprzedzenie*.

Chociaż *Pierwszą iskrę...* czytałam nie po raz pierwszy, bo kilka lat temu było mi dane przeczytać ją pod nieco innym tytułem na popularnym serwisie literackim Wattpad, to muszę przyznać, że autorka włożyła w publikację całe serce, wiedzę i duszę. Dzięki temu powieść tę czyta się wybornie. Jeśli zatem lubicie charakterne postacie kobiece, nieugięte i walczące o swoje, to *Pierwsza Iskra...* jest książką, którą pokochacie i będziecie wyczekiwać na drugi tom tak jak ja.



**Sylwia Gudyka** – Miłośniczka literatury fantasy i science-fiction. Pogromczyni błędów językowych i autorka tekstów z gatunku fantasy. Na co dzień prowadzi bookstagrama. [@fantastyka.w.recenzji](https://www.instagram.com/fantastyka.w.recenzji).

1.10.01.12



10% RABATU  
KOD

IDA ŚWIĘTA

www.samowydawcy.pl



# Jest również naszą córką

Paweł Horyszny

Opuścił szpital El-Najar i miał wrażenie, że zwymiotuje. Minął postój karetek Czerwonego Krzyża, na końcu którego stał ambulans, do którego jeszcze niedawno przyczepił się jak przywra do wątroby, i szybko schował się za rogiem. Oparł się o jasnoszarą ścianę i próbował uspokoić oddech. Spojrzał w górę i przyglądał się, jak granatowa płachta powolnie okrywa całe Rafah. Nie było jeszcze szóstej, a zapadał już zmierzch. Pomimo niespełna dwutygodniowego pobytu wciąż nie mógł się przyzwyczaić do ciepłych marcowych wieczorów. W końcu Palestyna to nie Edynburg.

Przemierzał ulice miasta i mimo panującego mroku nie mógł nie zwrócić uwagi na sposób, w jaki jasnoszare budynki niemal błyszcząły, kiedy odbijały światło księżyca. Wydawało mu się, że z taką samą intensywnością jak ziemski satelita przekazuje w zmienionej formie światło Słońca, tak samo kondygnacje miasta dają znać światu, że wciąż tutaj są. Na mocnych fundamentach. Na przekór temu czego ten kraj doświadczył.

Miał wrażenie, że idzie na ślepo i błądzi. Starał się trzymać głównych ulic. Wpierw Ibn Senna, potem Al-Imam Ali. Czuł, że krąży w kółko. Dopiero gdy doszedł do skrzyżowania z Abu Baker Al Seddeq, lekko oprzytomniał. Spojrzał na wysoką palmę na rogu i wciągnął w płuca bliskowschodnie powietrze. Poczuł w nim życie i strach. Wolność i walkę. Radość i obawę o jutro.

Tak, Rafah było jak tykająca bomba z opóźnionym zapłonem.

Chłopak wiedział, że jego demon tutaj jest. Skąd? Nie był w stanie sobie sam odpowiedzieć. Po prostu tamten przyciągnął go jak magnes.

Przyglądał się, jak mężczyźni gnieździli się pod szerokim parawanem kawiarni po drugiej stronie ulicy. W końcu to były najlepsze miejsca. Wciąż nie mógł się przyzwyczaić do ciepłych marcowych wieczorów. „W końcu Palestyna to nie Edynburg”, znów to sobie powtórzył w myślach.

Wszedł do środka. Ciężki zaduch wisiał w powietrzu jak ostrze gilotyny nad głową skazańca. Lokal wręcz raził prowizorką. Ubrudzone jasne ściany, które od lat nie doświadczyły dobrodziejstwa remontu, metalowe stoliki, plastikowe krzesła. Do tego chmura aromatów, w której mieszały się zarówno kmin i mielona kolendra, jak i alkohol oraz kawa, wywołała lekki zawrót głowy. Pomimo tłumy ludzi i atakującej uszy wrzawy, dostrzegł go w rogu. Nie widział go nigdy na oczy, ale wiedział, że to on.

Siedział nieco zgarbiony, lecz z jego postury emanowała pewność siebie. Miał na sobie brązowy płaszcz i śmiesznie wyglądający, jakby przeciwdeszczowy kapelusz. Gdzieś widział takowy... O, tak... Kilka tygodni temu na jednym z kanałów telewizyjnych widział archiwalny czarno-biały klip Steppenwolf z występu w niemieckim Beat Clubie. Grali „Born To Be Wild” z playbacku. Garkotłuk kapeli miał dokładnie coś takiego samego na głowie. Jak on się nazywał? Za cholerę nie mógł sobie przypomnieć...

Mężczyzna uniósł głowę znad filiżanki, dopiero teraz ukazując swoje mroczne oblicze.

Chłopak mylił się. Temu, który teraz na niego patrzył, zamiast kapelusza bardziej pasowałby płonący hełm Arthura Browna.

– Usiądź.

\*\*\*

– Nie mogłem tego zrobić.

– A dlaczego miałoby mnie to obchodzić. Umowa to umowa i nadszedł czas zapłaty.



– Nie jesteś ciekaw dlaczego?

– To już twój problem, mój przyjacielu, a nie mój.

– Nie macie tam w Krainie Zmarłych jakiegoś formularza zadowolenia klienta, który muszę wypełnić? Albo ankiety? Może chociaż *suggestion box*?

– Może jeszcze numer infolinii ci podać, żeby się poskarżyć na Boga Podziemi? I co byś powiedział? Że on jest bebe i chce zabrać twoją duszę, tak jak się umawialiście? Że to niehumanitarne? Może, że niezgodne z Paryską Deklaracją Praw Człowieka? – Jego rozmówca teatralnie gestykulował dłońmi. – No bo przecież to skandal, żeby ugarycki bóg śmierci tak po prostu wlaź swoimi osmolonymi kociorbami w czyjeś życie i odebrał swoją należność?

– Nie to miałem na myśli...

– A niby co? – Mężczyzna ściągnął gniewnie brwi.

– To, że... zresztą nieważne...

– Nie martw się. – Bóg się uśmiechnął szyderczo. – Sheol ci się spodoba.

– To piekło, prawda?

– Mylisz się. Piekło jest niczym więcej niż tym, co sobie sami wyobrażamy. Poza tym wyglądasz na bystrzaka. Myślałem, że wyszukałeś wszystkie informacje, których potrzebowałeś, zanim podpisałeś umowę?

– Pobieżnie – odparł chłopak ze wstydem w głosie. – Wiem, że Bóg Niebios, El, to twój ojciec, a Bogini Otchłani Asherah to twoja matka. Toczyłeś boje z własnym bratem Ba'ałem i nawet go raz pokonałeś, ale uratowała go Anath, wasza siostra...

– Dobrze, wystarczy! – przerwał mu Mot. – Wszystko przez ten „Cykl Ba'ala” odnaleziony w Ras Shamra w 1958. Wasi archeolodzy beznadziejnie go przetłumaczyli. Cholerni partacze... Legendy Kanaanu poprzecinano. Nie rządzą piekłem, tylko opiekują się zmarłymi. A to różnica.

– Semantyka.

– Gówno prawda. Sam się wkrótce przekonasz. Jednakże pamiętaj, co ci wcześniej powiedziałem – rzucił z przekąsem. – Piekło jest tylko tym, co sobie wyobrazimy.

Miejscowy pogładził powolnie czarną, tłustą brodę i miał wrażenie, że swoimi ciemnymi jak węgiel oczami prześwietlał go jak rentgen.

– Nie wiem dlaczego, ale lubię cię. – Pomachał teraz karcąco palcem, na którym lśnił srebrny pierścień. – Niech będzie. Dam ci się wygadać. Żeby potem nie rozpowiadali, że Mot jest bezduszny. No dobra... jestem bez duszy, jak na Pana Podziemi przystało, ale też mam swoje słabości. Są nimi na przykład honorowi ludzie. Tacy jak ty, na przykład. Mogłeś uciec. – Wywinął oczami. – OK, spróbować uciec, bo i tak bym ciebie znalazł, ale tego nie zrobiłeś, tylko do mnie przyszedłeś. Za to masz plusa, więc z miłą chęcią poświęcę kilka minut z mojej wieczności, aby ciebie wysłuchać. Poza tym Ba'al i tak mi wystarczająco syfu narobił w kartotece. Papla jeden... Niech dla odmiany pójdzie w świat, że Mot potrafił okazać litość.

– Dziękuję... – odpowiedział nieśmiało.

– No dobrze. – Mot odpowiedział znużonym głosem, jednocześnie poprawiając kreski pod oczami, zupełnie jakby próbował wydłubać śpiochy z kącików oczu. – Zaczynaj od początku. Dlaczego ona?

Chłopak przyglądał się, jak Pan Podziemi podparł się łokciami o blat stołu i założył palce dłoni pod brodę.

– Sam nie wiem. Chyba to przypadek albo przeznaczenie...

Mot pstryknął palcami i puścił mu oko na dźwięk ostatniego słowa.

– Sorki, nie chciałem przerywać. Kontynuuj.

– W każdym razie... – odchrząknął – może to dlatego, że to mój rocznik? Dokładnie o miesiąc starsza ode mnie? Chociaż, chyba to, co mnie uderzyło na samym początku jej historii to, że nie musiała tego robić. Pochodziła z dobrej rodziny. Miała wykształcenie. Miała przyszłość. Cały świat stał przed nią otworem, ale wybrała to miejsce. Gdybym nie nawalił teraz, żyłaby w szczęśliwym zamążpójściu. Mieszkałaby na przedmieściach Olympii. Widziałbym ją w takim

domku na osiedlu, w jakim dorastał Kevin Arnold w *Cudownych Latach*.

– I ty miałeś być jej mężem?

Chłopak przełknął ślinę. Miał wrażenie, że w czarnych źrenicach Mota niemal widział swoje odbicie, które nie było tym, jakie ostatnio pamiętał. Nie był już bowiem kurierem z nadmorskiego Portobello tylko przystojnym aktywistą International Solidarity Movement.

– Nie znoszę takiego uzalania się nad sobą. – Mot potarł czoło. – Twój oryginalny wygląd nie był zły, tylko brakowało ci jednego. Pewności siebie. Uwierz mi, gdybyś miał babę w domu i gdybyś się sam siebie nie wstydził, jak powiedzmy Jason Statham, to by się bała ciebie samego na miasto wypuścić.

– Ostatni komplement dla skazańca?

– Może?

– Super. Dzięki.

– Dobra. Opowiadaj dalej. – Mot wykonał dłońmi zapraszający gest. – Tylko jedna rada... – Pochylił się nagle ku niemu i wyraźnie ściszył głos: – Tylko ty mnie widzisz, nikt inny. Im głośniejszy będziesz, tym bardziej będziesz widoczny, że gadasz do siebie. A tutaj świrów nie lubią. Więc pilnuj się.

Zakręcił palcem wokół własnej skroni i osunął się z szyderczym uśmiechem na oparcie krzesła, krzyżując ramiona na piersi.

– Zaczynam się pocić. Potrzebuję rumu. – Chłopak zaczął oglądać się w poszukiwaniu kelnera, lecz odgłos pstryknięcia palców Mota dał mu podświadomie znać, że szklanka z jasnobrązową cieczą nagle pojawiła się przed nim na stole.

– Sailor Jerry. – Mot niemal chełpił się swoją wiedzą. – Pół na pół z colą. Bez lodu. Z plasterkiem limonki, jak miemam.

– Niech zgadnę. Po wypiciu jej, szklanka napełni się na nowo?

– Bystry jesteś. – Znów pstryknął palcami i wycelował palcem wskazującym w jego stronę jakby z rewolweru. – Dlatego, jak w dawnych grach wideo, zasłużyłeś na dodatkowego ludzika.

– Czyli?

– Godzinę więcej użalań się nad sobą.

Chłopak wychylił kolejny haust.

– Pij, pij. – Mot znów oparł łokcie na blacie i zakręcił kciukami obu dłoni. – Będziesz łatwiejszy.

Młodzieniec zakrztusił się tak, że rum wyszedł mu niemal nosem.

– Wyluzuj! – Wyraźnie rozbawiony Mot klepnął go w ramię. – Mam w kolejce atrakcyjniejszych i atrakcyjniejsze od ciebie w swoim podziemnym haremie. Może nie Jasona Stathama, ale wciąż atrakcyjniejszych niż ty, więc zrelaksuj się.

Chłopak opróżnił kolejną szklankę.

– No więc, ciągnąc dalej... – kontynuował swoją historię po geście aprobaty Mota. – Jej historia mnie urzekła i chciałem ją zawsze poznać. Dlatego zwróciłem się do ciebie.

– I co ci to dało?

– Zobaczyłem ją po raz pierwszy, kiedy odbierałem ją dwudziestego piątego stycznia z lotniska. Miała niewielkie problemy przy wjeździe przez przejście w Erez, gdyż w okienku powiedziała, że odbierze ją kobieta, a nie mężczyzna.

– Sorki, moje przeoczenie.

– Nieważne.

– No i?

– Spędziłem z nią niemal dwa miesiące. Śledziłem jej każdy ruch. Przyglądałem się jej każdym czynnościom. Przemogłem się na tyle, aby z nią porozmawiać i ją poznać...

– ...i to, że odjąłem ci twoją naturalną tendencję do jąkania się, na pewno też pomogło.

– Ponownie. Dziękuję.

Mot się uśmiechnął.

– Pokochałem ją nie tylko za jej wyobrażenie, jakie miałem w głowie od kilku lat, ale teraz zdaję sobie sprawę, że moje uczucie jest

odzwierciedleniem tego, kim naprawdę była. Dobra i ciepła. Dbała o ludzi i nie znosiła niesprawiedliwości tego świata...

– ...Widzę, że los całej ludzkości spoczywa w rękach głupców...

– Naprawdę? Będziesz mi teraz cytował kawałki King Crimson?

– Przepraszam. Stary nawyk. Lubię grzebać w duszach swoich klientów, a mam do nich pełny dostęp po podpisaniu umowy. Czasem nie mogę się powstrzymać. Też mam swoje słabości. No, wiesz... to taki mój Facebook.

– Mogę dalej?

– Proszę cię bardzo.

– Otworzyła się na mnie też. Myślę, że mnie bardzo polubiła. Była niezwykle mądra. Bardzo się zżyła z miejscową ludnością. Odwiedzała kilka rodzin, takich jak ta o nazwisku Nasrallah. Spała i jadła w ich domach. Uczyła się ich historii. Ich języka. Mogła wrócić do Stanów w każdej chwili, ale tego nie zrobiła. Twierdziła, że skoro przebyła taki kawał, to chciała zostać po tej stronie oceanu chwilę dłużej. Myślała o dalszej rodzinie we Francji. Wspominała też o Szwecji, ja jednak wiem, że i tak prędzej czy później wróciłyby tutaj. Miałem wrażenie, że Rafah stało się jej drugim domem. Czułem, że być może tutaj będzie chciała ułożyć sobie życie. I w tym wypatrywałem swoją szansę.

– W takim razie co poszło nie po twojej myśli?

– Chciałem ją uratować. Przecież w końcu wiedziałem, którego dnia i o której godzinie ten buldożer ją rozjedzie. Dałoby mi to więcej czasu, aby przekonała się do mnie i moich uczuć. Tylko...

– Tylko co?

– Tylko dobrze zdałem sobie sprawę, że jeśli nie szesnastego marca to zginęłaby innego dnia. Jeśli nie pod gąsienicami, to dostałaby kulkę w łeb od izraelskiego żołnierza, niby przypadkowo. Zrobiłaby się afera, ale miejscowy sąd i tak by go uniewinnił. Może skatowaliby ją w więzieniu i zrobili jej coś gorszego...

– Niech zgadnę...

– ...dokładnie. Kochałem ją bardziej każdego dnia i wiem, że to paskudnie zabrzmiało, ale im później by zginęła, tym mocniej bym cierpiał. Zwłaszcza jeśli w końcu bylibyśmy parą.

Mot lekko zagryzł kostkę środkowego palca.

– Wow! – Uśmiechnął się szyderczo. – Piękna historia. Takie czyste uczucie nie podszyte niczym więcej. Jestem pod wrażeniem. Dałem ci wygląd, o którym zawsze marzyłeś i mogłeś to wykorzystać w najbardziej prymitywny sposób, ale tego nie zrobiłeś. Podziwiam.

– Czyżbym poruszył strunę wrażliwości u Boga Podziemi?

– Nie dopisuj sobie zasług. To, że urosły ci jaja, nie znaczy, że ograsz kogoś takiego jak ja.

– Próbuję zachować odpowiednie proporcje.

Poczuł ból w gardle i zaczął kaszleć, chowając usta w kefiję, którą miał założoną wokół szyi.

– To sygnał, że twój czas upływa. – Mot podrapał się po czole i rzucił z wyrazem twarzy, na której mieszało się znużenie i lekkie zawstyżenie. – Nie chcę cię martwić, ale nie wyjdiesz stąd żywy.

– Myślisz, że tego nie wiedziałem, przekraczając próg tego miejsca? – odparł młodzieniec, rzuciwszy spojrzenie na wypełniony po brzegi lokal.

Uśmiechnął się, widząc, że kawiarnia jest pełna. Na twarzach Palestyńczyków widział ożywienie i poczucie wolności. Dawało im to poczucie swobody, której nie zaznają za dnia, kiedy opancerzone wozy okupantów pojawiają się zniemacka i zaczną burzyć ich domy. Taki sam jak ten, który jego ukochana próbowała chronić.

– Miała na sobie odblaskową pomarańczową kamizelkę i megafon, przez który nadawała. Nie można było jej nie zauważyć. Przyglądałem się, jak umiera. Jej głowa spoczywała na moich udach, kiedy zamykała oczy. Wiedziałem, że ich już nigdy nie otworzy. Wiesz, co to za uczucie?

Lokalem zatrzęsł nagły atak jego kaszlu.

– To po co za nią jechałeś do szpitala?

– Uznałem, że pożegnanie to nie tylko jedna chwila, lecz dłuższy proces. Chciałem być z nią do samego końca. Chłonałem każdą sekundę, w której przyglądałem się jej pięknej twarzy. Miałem wrażenie, że czas jakby się dla mnie zatrzymał. Karetka strasznie telepała i syrena nie ułatwiała koncentracji; jednak kiedy trzymałem ją za bezwładną dłoń, z której uciekało życie, pomimo smutku i gniewu... czułem również szczęście. Wiem, trudno to zrozumieć, ale tak teraz sobie myślę... – Przezcesał włosy, jakby chciał dodać sobie animuszu. – ...Cała masa ludzi nigdy nie poczuła tej prawdziwej miłości. Takiej szczerzej, która potrafi przetrwać niejednego kryzys i niejedną różnicę zdań. Ja miałem okazję doświadczyć czegoś takiego, nawet jeśli jej wynikiem było jedynie platoniczne uczucie i wizja niedoszętego szczęścia. Większość z nas nie doświadczyła nawet tego. Osobiście czuję się spełniony!

Wstał i uniósł ramiona w geście triumfu, nie zważając na reakcję bywalców lokalu.

– Zabierz mnie teraz! – Oparł dłonie na blacie stołu i nachylił się ku Motowi. – Mam gdzieś, jak wszyscy mnie postrzegają!

– Brawo! – Bóg Podziemi wstał, robiąc *standing ovation*. – Brawo! – Ostentacyjnie rozejrzał się dookoła. – Doprawdy, brawo!!

Młodzieniec miał wrażenie, że dyszy ciężko jak koń po westernie.

– Gdyby tylko gawiedź wiedziała, o co chodzi! – zaśmiał się Mot. – Ta jednak pozostanie w niewiedzy, a ty za chwilę będziesz zapomniany.

– Zawsze byłem zapomniany. Myślisz, że mnie to boli?

– Chybiłem. – Mot odparł skruszony. – Kurcze, ale się wygłupiłem... Stał niewzruszony.

– I co teraz?

Bóg Podziemi usiadł i pstryknięciem palców wywołał w młodzieńcu kolejny atak kaszlu.

– Teraz umrzesz. Czuję do ciebie sympatię. Muszę ci to oddać.

– Dałeś mi mięśnie i pewność siebie, więc zmierzę się z tobą!

Mot poprawił kapelusze i ponownie pstryknął palcami.

– Ze mną nie będziesz się mierzył. – Mot wyszczerzył spróchniałe zęby. – Będziesz się mierzyć z nimi. – Wskazał na pozostałe stoliki w lokalu.

Obejrzał się i cały zgiełk zamarł, jakby ktoś odłączył wtyczkę. Każda para oczu wpatrywała się teraz pustymi i ciemnymi spojrzeniami w młodzieńca.

– Jak na Boga Podziemi to zachowujesz się mało honorowo. Naprawdę? Musisz się wysługiwać innym?

– Kogo to obchodzi i kto się o tym dowie? – Mot nadzwyczaj szczerze się zaśmiał. – Wasz ziemski padół ma w dupie wybryki przedstawicieli wszystkich bóstw. Spójrz na pedofilię katolickich księży w Polsce, Irlandii czy Kanadzie. Dalajlama zażądał od nastolatka, aby ten obciągnął mu końcówkę języka. O haremach w kalifatach dżihadystów nie wspomnę. Sam jestem niszowym bóstwem, więc po waszemu *who gives a fuck!* na to, co robię. Tak działają bóstwa, mój drogi. Wszystkie bóstwa.

Chłopak poczuł się jak przegrany. Wiedział, że nie ma szans. Tylko się ośmieszył.

– Mam dla ciebie jednak drobne pocieszenie. – Mot wpatrywał mu się w oczy. – Marne, ale zawsze. – Nachylił się i rozejrzał wokół, jakby nie chciał być słyszany przez kogokolwiek innego. – Pomyśl, że ocaliłeś jej legendę. Owszem, zapewne powiesz, że u ciebie, w roku dwa tysiące dwudziestym trzecim, jej śmierć nic nie znaczy po tylu latach, jednak się z tobą nie zgodzę. Jej pamięć przetrwa na zawsze. Palestyńczycy będą o niej zawsze pamiętali, a ofiary takie jak ona tylko dadzą temu narodowi siłę. Nawet jeśli wszyscy politycy są przekupieni, a media o niej milczą. Gdybyś ją ocalił, Palestyna nigdy nie byłaby wolna. Jej śmierć nie poszła na marne. Uwierz mi. *Inha ebentke lakanha asada abna kel al-flastiniyn. Inha bintna asada alaan.* Ona nie jest już tylko córką swoich rodziców. Jest córką Palestyny. Jest również naszą córką.

Bóg Podziemi poklepał go po przedramieniu.



- Tak lepiej?
- Chyba tak.
- Gotowy?
- A mam wybór?
- No to chodźmy.

Obaj wstali. Mot pierwszy skierował się ku wyjściu.

– Mam jeszcze jedno pytanie. – Chłopak zatrzymał się.

Bóg Podziemi zwolnił krok i z wyraźnym znużeniem wywinął oczami.

– Czy ją tam spotkam?

– *Czy nikt nie złoży laurowego wieńca, gdy cisza zagłuszy krzyki?* – Uśmiechnął się. – Wkrótce sam się przekonasz.

Mot pstryknął palcami i otworzyły się drzwi, za którymi rozpościerała się ciemność.

\*\*\*

*Rachel Corrie była amerykańską aktywistką i członkinią International Solidarity Movement, organizacji działającej na rzecz uświadamiania, w jaki sposób są łamane prawa człowieka względem ludności palestyńskiej w Gazie i na Zachodnim Brzegu Jordanu. Została rozjechana 60-tonowym buldożerem Izraelskich Sił Obronnych, kiedy broniła domu palestyńskiej rodziny w Rafah przed nielegalną rozbiórką. Miała 23 lata. Pomimo zeznań licznych*



**Paweł Horyszny** – z urodzenia gdynianin, z wyboru edynburczyk. Wegetarianin, ateista, miłośnik science fiction, maniak rocka progresywnego. W tym roku zadebiutował powieścią „Templarantis”.

świadków obciążających operatora pojazdu, w 2012 izraelski sąd w Hajfie odrzucił pozew sądowy rodziców Rachel, uznając jej śmierć za wypadek, a w 2015 roku Najwyższy Sąd Izraela odrzucił ich apelację, utrzymując w mocy orzeczenie sądu pierwszej instancji.

Pamiętniki i emaile działaczki zostały wydane w formie wspomnień w 2008 roku w formie książki pod tytułem „Let Me Stand Alone”, a w 2005 roku miała premierę sztuka „My Name Is Rachel Corrie” w londyńskim Royal Court Theatre w reżyserii niezapomnianego Alana Rickmana.

*W tym roku mija 20 lat od brutalnego morderstwa Rachel.*

fot. Timon Studler, źródło: unsplash



# Wnętrze nie ma nic wspólnego z wyobrażeniami – recenzja książki *Suchy Ganges* Michała Jurczyńskiego

Agnieszka Kusiak

„Z jednej strony cienie napierające ze wszystkich stron, z drugiej barka odpływa w czarną dal, a pośrodku, samotny i rozdygotany, jak drobina – Ty, który nikt nieś tak, że nie musisz się specjalnie wysilać ani natężyć umysłu, by wyobrazić sobie, że ta drobina, która kiedyś żyła, oddychała i przykuwała czyjąś uwagę, znikła całkiem. Mrugasz dwa razy i już jej nie ma...” rozmyślałam po lekturze. I choć zaczynam od własnych myśli krążących gdzieś między tekstem, a rzeczywistością, to tylko dlatego, że ta książka mnie otumaniała.

Mowa o *Suchym Gangesie* Michała Jurczyńskiego, który na przekór tytułowi zanurza bohatera w korporacji. Tu pracownik zostaje pochłonięty przez odmęty firmy i topi się, by na końcu zostać wyplutym bez sił, bez nadziei, za to z depresją i receptą na leki psychotropowe.

Każdy tu marzy o karierze. O awansach, docenieniu i pochwałach płynących zarówno „z góry”, jak i od kolegów,

z którymi ciągnie się firmowe taczki zarobku. Marzenia dobra rzecz, lecz jak się mają do rzeczywistości? Czy kariera faktycznie ścieli się czerwonym dywanem u stóp?

Dostajesz pracę po trzech etapach rozmów kwalifikacyjnych. Czujesz, że złapałeś Boga za nogi. I choć twoja wiara kuleje, całujesz Mu stopy z wdzięczności i radości, lecz to tylko złudzenie. To preludium do zatracenia, ale to przyjdzie później, teraz jest duma z samego siebie i euforia rozsadzająca wnętrze. Faktem jest praca lecz cała reszta to fantasmagoria. Bóg okazuje się być Firmą, a jego stopy sznurami, które ściskasz podczas wspinaczki na obiecane wyższe stanowisko. Pniesz się po firmowym ośmiotysięczniku, bo perspektywa wyższego (lepszego) stanowiska, to wyższe zarobki, wyższy status i szansa przeprowadzki. Pniesz się, ściskając sznur, który twoja wspaniała kierowniczką Doda wysmarowała olejem. Każdy krok do przodu równoważy

dwa do tyłu, lecz w zaślepieniu nie dostrzegasz tego. Przecież Firma otuliła cię swym ciepłym kocem, doceniła i obiecała tak wiele.

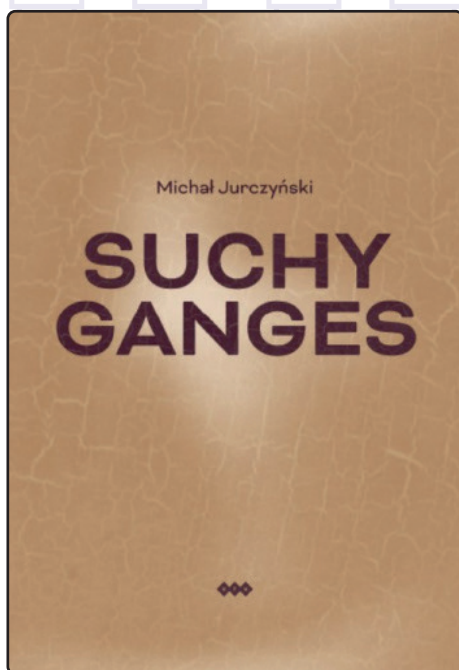
Jednak życie ma własne drogi, którymi cię prowadzi, a te nie pokrywają się z tymi wytyczonymi przez Firmę. To dwie kompletnie różne mapy.

Albo – albo. Nie ma nic pośrodku. W takim właśnie punkcie znalazł się bohater *Suchego Gangesu*. Albo Firma – albo dom. Albo inteligencja, której w firmie lepiej nie udowadniać – albo zidiocenie, które uwiera jak kamień w buty. Trzeba grać, wkomponować się w etiudę wygrywaną przez orkiestrę, na czele której stoi dyrygent zwany Firmą. Ty jesteś małym czymś pomiędzy innymi małymi byle jakimi. Razem tworzyacie dywan, na którym moszczą się wypracowane przez was zyski dla prezesów. Nie dla was. Wy nawet nie wiecie, jaki ów dywan ma kolor.

Po lekturze pytałam sama siebie – czy nie jest aby o mnie? O zaślepionym trybiku bez imienia, bez nazwiska, bez wieku, który dał się pożreć wielkiemu Pracodawcy? Ale – zawsze jest „ale” – autor, poniekąd dla kontrastu owego zarobkowego bogactwa, dał swojemu bohaterowi mieszkanie w kawalerce, gdzie życie pijackie innych wciąga normalnego w depresję. Na jednej szali Firma i wysokie progi, na drugiej dom i bełkot pijacki, głośna muzyka i telefon na policję, by zrobili cokolwiek.

Tu, w tym miejscu życie życia nie przypomina. Jak i w Firmie. Na początku było inaczej, była równowaga, potem jednak jedna szala poszła do góry i tak została. Nigdzie nie ma normalności.

Michał Jurczyński precyzyjnie rzuca swojego bohatera na czynniki pierwsze. Każdą jego myśl kładzie na literackim szkiełku i bada pod mikroskopem. Spisuje to, co widzi, zapełnia strony książki i jednocześnie zadaje pytania. Nic jednak nie pisze o diagnozie tych badań. Ten fakt przemilcza. Wyniki jego analiz musisz bowiem odnaleźć sam i po swojemu je zinterpretować. A to nie wszystko. Musisz jeszcze siebie samego umiejscowić na wykresie obietnic i wizji, musisz postawić krzyżyk w miejscu, do którego doszedłeś.



*Suchy Ganges* to poniekąd kąpiel w firmowej rzece bez wody, podczas której musisz utrzymać się na powierzchni. Na brzegu brak ratownika. Gdy się zaczniesz topić, nikt cię nie uratuje. Inni płyną obok, każdy dba o siebie. To wyścig szczurów bojących się wody. Bohater jest niczym pośród niczego. Jest człowiekiem kurczącym się, ślizgającym po powierzchni życia, który dopiero w ostateczności dostrzega prawdziwego siebie.

Michał Jurczyński napisał powieść o zamknięciu jednostki na pewnej przestrzeni na niewiadomy okres i dał jej cel, bo tylko dążenie do celu nadaje życiu sens. Ale własne demony bohatera zbliżają się, muskając skórę, chcąc zawładnąć podatnym umysłem. Nie potrafi przemówić do własnego rozsądku, bo okazuje się być słaby.

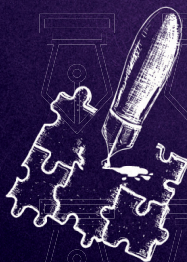
Ta powieść to konglomerat wielu gatunków literackich. To obyczajowy – psychologiczny dramat socjologiczny, to zlepek wielu myśli, który wspólnie

tworzy świetną lekturę. Jednak czytanie sprawia ból. Nie można nie szukać punktów wspólnych z bohaterem. Personalizujesz się do tego stopnia, że odczuwasz psychiczne wyczerpanie.

Jednak *Suchy Ganges* to niewytlumaczalny rarytas książkowy. Dobrze się czyta, wywołuje burzę mózgu i zmusza do myślenia. Od dobrej książki niczego więcej nie trzeba.



**Agnieszka Kusiak** – maniak książek i słowa pisanego. Pisze opowiadania i recenzje. Współpracuje z autorami książek i wydawnictwami.



# PSAN SAMOWYDAWCY

Polskie Stowarzyszenie Autorów Niezależnych

# Podróż bez słów

Agnieszka Kusiak

Byłam znużona z wyczerpania. Co książka, to inna historia, inne losy ludzi, ich dramaty i osobiste upadki, których zawsze jest więcej aniżeli sukcesów. Co okładka, to inna sceneria odtwarzanej sztuki literackiej, czy lat wydarzeń. Stara Anglia obrośnięta lawendą, środek Ameryki Południowej i skwar wywołujący pot czy plantacja kawy już nie wiem gdzie. Te historie mnie pociągały, bo zawsze gdzieś w tle majaczyło piekło dramatu, kipiało od smutku, depresji i bezsilności wywołanej lekami. Pławiłam się w takich tematach, bo były mi bliskie. Utożsamiałam się z bohaterami, co tobie się nie podobało. Ponoć od dziecka miałam takie zapędy. Szukałam smutnych powieści, mówiłeś. Nie byłam jak inne dzieci. Dzieckiem byłam, ale wewnątrz miałam dorosłe. Śmiałeś się ze mnie, próbując w ten sposób nakłonić mnie do zmiany lektur.

Ale teraz, bez ciebie, banalność książek, które czasem trafiają do moich rąk, sprawiała, że stopniowo, acz solidnie, buduje się we mnie niechęć do czytania i do słowa pisanego w ogóle, dlatego ich unikam. Odrzucam je, podczas gdy inni z rozkoszą po nie sięgają.

Ale teraz czytanie różności było podróżą Orient Expressem, który coraz szybciej zbliża się do stacji końcowego zniechęcenia. Gdy maszynista zatrzyma maszynę, wszystkie te farmazony zwane górnolotnie *klasyką literatury światowej* lub *bestsellerem* wyrzucę. Złe pióro, trywialne historie, naciągane fakty nie mające nic wspólnego z rzeczywistością i banalne zdania, w które ktoś wierzy.

Czytając, szukałam zapomnienia, od zawsze. Zwłaszcza teraz. Wsadzałam nos w powieści i uciekałam od samotności siedzącej tuż obok mnie.

Kiedyś siedziałeś ty. Kiedyś ty tu byłeś...

Zawsze obok.

A teraz? Teraz tekstami skrytymi pomiędzy okładkami zagłuszam ciszę, jaka wżera się we mnie. Chciałabym nie czuć bólu i przestać wreszcie tęsknić. Chciałabym wyzbyć się bólu i tęsknoty, które są we mnie od dawna.

Od kiedy ciebie nie ma.

Mówi się, że rok trzeba żałować, a raczej żalować nosić na sobie i w sobie. Żałobę spowitą czarnym kirem, by wszyscy widzieli. Jakbyś miała udowodnić innym, że ktoś ci faktycznie zmarł, ktoś bliski. Że cię opuścił i leży teraz pod ziemią. Że po roku przechodzi, mówią. Że roku trzeba, by żal i smutek, i tęsknota odeszły, zelżały i uwolniły twoje ciało i głowę. Mówi się...

Od czego ma ów czas uleczyć mój mózg?

U mnie po roku było jeszcze gorzej. Czerni szerniała, smutek we mnie zapuścił korzenie, głowa nadal nie umiała pogodzić się z tym, co się stało. Po trzystu sześćdziesięciu pięciu dniach stanęłam z beznadzieją u stóp na skarpie, z której chciałam skoczyć. Wystarczyło zrobić jeden krok. A tak, co? Czas mija, rok po roku zmieniam kalendarz ścienny na nowy i z każdym kolejnym rokiem coraz bardziej go nienawidzę. Codziennie przesuwam czerwony kwadrat na następną liczbę. Poniedziałek, wtorek... niedziela. Trzeci, osiemnasty, dwudziesty pierwszy...

Dziś trzydziesty stycznia, jutro ostatni dzień i zacznie się nowy miesiąc. I tak w kółko, jak w młynie, gdzie obracające się koło ciągle nabiera tę samą wodę.

Bełty.

Stojąca woda wypełnia mi wnętrze, topi mój umysł...

Chce mi się płakać.

Dlatego teraz to robię, jadę pociągami. I dlatego nie wysiądę na tej stacji w Turcji. To stacja, którą minę, ale robię to dla ciebie, choć ciebie już nie ma, a moje serce wyje. Wspomnienia puchną we mnie.

Moja dłoń zatopiona w twojej. Dziecko z tatą, tak wtedy było. Pierwszy i ostatni raz. Jechaliśmy gdzieś dalej, ale przejeżdżaliśmy

przez to miasto, tak to wtedy zaplanowałeś. Chciałeś to miejsce mi-  
nać, by jednocześnie mi o nim opowiedzieć.

A ja teraz robię to samo. Dla ciebie, tatusiu. Ale chyba nie dam  
rady patrzeć na nie, bo to twoje miasto, należy do ciebie. To ty po-  
winienes pierwszy postawić tutaj stopę, nie ja. To by było pogardą  
w stosunku do ciebie, tak to czuję.

Nie wysiądę tutaj. Rozpadłabym się na milion drobinek, które ule-  
ciałyby wraz z porywem najdelikatniejszego nawet wiatru. Rozsypa-  
łabym się całkowicie, choć już teraz niewiele mi brakuje.

Opowiadałeś mi o twojej babci, którą pokochałeś szybciej niż  
mamę. Opowiadałeś o domu, w którym się urodziłeś i wychowałeś,  
i z którego jako chłopiec wyruszyłeś w świat. Bo tak trzeba było, mó-  
wiłeś. Ubóstwo było wszędzie, u was też. Trzeba było w pewnym mo-  
mencie podjąć taką decyzję i, choć miałeś niespełna siedemnaście  
lat, zrobiłeś dorosły krok. Zresztą nie pamiętałeś swojego dzieciństwa,  
bo szybko dorosteś. Takie było wówczas życie, mówiłeś. Byłeś starcem  
ukrytym w ciele małego chłopca, który musiał być odpowiedzialny  
nie tylko za siebie, ale za wszystko i wszystkich.

Musiałeś wyjechać i wszyscy mieli tego świadomość.

Były łyzy i mocne uściski. Były wątpliwości i nieprzespana ostatnia  
noc w domu. Nikt chyba nie spał, opowiadałeś, bo w nocy ciągle  
słyszałeś czyjeś kroki. Od okna do łóżka, od okna do kuchni i z powro-  
tem. Od łóżka do toalety...

I po trzydziestu latach wiozłeś mnie tu pierwszy raz.

Byłam zachwycona tym, co się działo. Twoimi historiami i wido-  
kiem za szybą. Nie powiedziałam ci tego, ale byłam wtedy, w tym  
zatłoczonym i dusznym pociągu, najszcześliwszą dziewczynką na  
świecie, która jechała z ukochanym tatą. Byłeś cały mój. Tylko mój.

Byłam twoim oczkiem w głowie i to było najwspanialsze w tej po-  
droży we dwoje. Przemilczałam to i nie mogę sobie tego wybaczyć.  
Zresztą tego jak i wielu innych słów, które zostały we mnie, a które  
powinny trafić do ciebie.



Jechaliśmy w pociągu, w którym trudno było oddychać. Ci ludzie wokół, zlepek wielu narodowości, tworzyli zatęchłą masę orientu, która mdliła. Kręciło mi się w głowie. Pamiętam momenty, gdy zamykałam oczy, by ulżyć głowie, a ty pochylałeś się nade mną i szeptałeś mi do ucha, że się przyzwyczaję. Do tego zapachu, do ścisku i do niejednej rzeczy, jaka mi się jeszcze w życiu przydarzy. Mówiłeś, że wszystko ma swój czas i kolor sobie przypisany, że poznam w życiu jeszcze wiele takich miejsc, w których nie będę umiała się odnaleźć, ale pokora ukoji stres, czas złagodzi strach. Szeptałeś słowa, które układały się w baśń nawleczoną na sznurek. Słowa o milionie barw i odcieni, które razem tworzyły naszyjnik, jaki chciałam mieć.

Głaskałeś mnie po włosach.

Pamiętam historię z twojej przeszłości, którą mi opowiedziałeś, gdy pociąg minął twoje miasto. To było o chorobie twojej babci i szpitalu, do którego poszła o własnych siłach, i z którego już nie wyszła, ale wtedy nikt tego nie wiedział. Że to był ostatni jej spacer, bo potem już nigdy nie wstała z łóżka, w którym ją położono. Na wszystko się godziła, bo nie miała sił, by mówić. Dziwne zmęczenie zarzuciło na nią siatkę, spętało ją i zawłaszczyło. Zbyt szybko wszystko się działo. Z dnia na dzień życie z niej ulatywało, czuła to, tego się bała i tego nie mogła ukryć. I tak jak wcześniej mówiła o śmierci i o tym, że się jej nie boi, że ją oswoiła, że to naturalna kolej życia, tak teraz, w szpitalu, zaczęła się jej bać.

Miała oczy wystraszonego dziecka, a jej twarz leżąca w zagłębieniu poduszki wygładziła się. Była babcią, ale jakby młodszą, była twoją babcią, ale nieco inną – mówiłeś. Jakby ona nie-ona.

W tym szpitalu została. Kilka niedługich dni zaledwie i wszystko się skończyło. Życie z niej uleciało delikatnie, cicho, bez dźwięku i martwienia kogoś.

Przykryto ją białym prześcieradłem, które białe raczej nie było.

Jakiś człowiek w białym kitlu powiedział ci, że zamknęła tylko oczy z uśmiechem na ustach i było po wszystkim.

Puuuch, jak to ujął, i rozwarł dłoń, kierując ją ku górze. Uleciała, powiedział ci i odszedł. A ty z tym „puuuch” zostałeś.

Zastanawiałam się, czy miała wtedy skrzydła. Ty pewnie też o tym myślałeś, bo zawsze myśleliśmy podobnie.

Opowiadałeś, jak chodziłeś do niej, zanim śmierć sobie o niej przypomniała. Siadałeś na skraju wąskiego łóżka, głaskałeś po pomarszczonej dłoni i opowiadałeś wszystko, co przyszło ci do głowy. O łące za domem, o krzakach i ich gałęziach ciężkich od dojrzałych owoców i o ciszy wieczornej, która jak koc rozścielała się o pewnej godzinie. Mówiłeś też o sobie, bo tego potrzebowałeś. O samotności, o łzach w ciszy poranka i o pretensjach do Boga, który robił to, co robił. Czasem milczałeś i nie wypowiadałeś ani jednego słowa. Nic. Wchodziłeś i wychodziłeś, a w drodze powrotnej płakałeś jak dziecko, które zagubione szuka rodziców w zbyt wielkim mieście. Siedziłeś koło niej i nie mogłeś się pogodzić z tym, co ją czekało. Co ciebie czekało już bez niej...

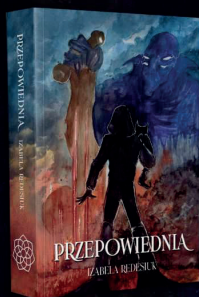
Pamiętam tę historię tak dokładnie, jakbyś powtarzał mi ją kilkakrotnie. A przecież to był tylko ten jeden raz.

Ale teraz dopiero wiem, że to był jej czas. Wtedy, w tym pociągu musiały paść z twoich ust słowa, które tworzyły tę historię.

Tak po prostu musiało się stać.

Jadę i milczę. Patrzę przez szybę. Co jakiś czas zatrzymuję wzrok w jakimś punkcie, a wtedy prędkość nieco się zmniejsza. Twoje miejsce, twoje, myślę.

Tęsknię, tatusiu, za tobą. Bardzo...



POWIEŚĆ **IZABELI REDESIUK**

Magia, romans, seks i wojna **przeplatają się** i łączą życia kilku osób zdecydowanych walczyć z **przeznaczeniem.**



# Czy są nam potrzebne straszliwe matki? – krótkie rozważania nad książką *Cieszę się, że moja mama umarła* Jenette McCurdy

Magdalena Wolff

Wiecie, jak to jest w baśniach i książkach dla młodzieży: na samym początku trzeba ukatrupić rodziców lub wysłać ich w długą delegację. Ja sama, nawiązując do szlachtetnej baśniowej tradycji, pozbyłam się rzutem na taśmę większości rodziny głównej bohaterki *Kukułki i wrony*.

W prawdziwym życiu jednak nie zawsze się tak da.

*Mama nie spuszcza wzroku ze mnie, a ja z niej, czyli jest tak jak zawsze. Jesteśmy połączone. Splecione ze sobą. Stanowimy jedność.*

Powiało grozą? A to dopiero początek...

*Przywołuję na twarz swój popisowy sztuczny uśmiech. Mama nie widzi, że jest sztuczny. Myśli, że naprawdę się cieszę.*

Mity i baśnie obok archetypu dobrej, opiekuńczej matki, takiej jak Lzyda, Demeter czy Matka Boska, prezentują także archetyp Straszliwej Matki, która zabija, a nawet pożera własne potomstwo. To Medea, Ceridwen, Baba Jaga.

*Czuję się podle. Na przesłuchaniu wypadłam lepiej niż na planie. Zawiodłam. Chciałabym, żeby mama przestała do tego wracać, wiem jednak, że po prostu zależy jej na tym, abym była jak najlepsza. Wiem, że nie ma złych intencji. Mam tylko przestać knocić i stanąć na wysokości zadania. Mam pokazać, na co mnie stać. Jest po prostu dobrą mamą.*

Niewdzięczna rola „tej złej” przypada również całej armii Złych Macoch i czarownic z baśni. Zmarła matka lub matka chrzestna wspierają, macochy

i więdmy znęcają się i zagrażają, co obserwujemy chociażby w słynnej baśni o Kopciuszku, a także w rosyjskiej opowieści o Mądrej Wasylisie. Jaka jest rola tych złych? Czy są tylko po to, żeby bohaterka miała jakiegoś przeciwnika? Bez antagonistki nie ma wszak o czym opowiadać.

*Jeśli zacznę dorastać, mama nie będzie mnie tak kochała. Często płaczę i przytula mnie ze słowami, że mam zostać mała. Serce mi wtedy pęka.*

Zadanie groźnej matki jest kluczowe. To właśnie ona przeprowadza młodą dziewczynę przez rytuał wejścia w dorosłość. Próba ma za zadanie

przemienić dziecko w dorosłą kobietę. Pożarcie bohaterki jest czynnością symboliczną. Dziecko umiera po to, by mogła się narodzić kobieta. Celtycka bogini Ceridwen pod postacią kury połknęła swojego syna Gwiona przemienionego w ziarno, po czym urodziła go na nowo i nadała nowe imię: Taliesin. Został on największym z walijskich bardów. Dar ponownych narodzin pozwala nam rozwinąć swój prawdziwy potencjał.

Nasza Baba Jaga również regularnie grozi bohaterom i bohaterkom pożarciem. Instynkt mitologiczny podpowiada, że w starszych historiach nie poprzestaje na groźbach. Pożarcie może występować w różnych wariantach, jak choćby bycie wepchniętym do pieca i wyjście z niego jako nowa osoba (tak, Jasiowi i Małgosi wszystko się pomyliło i dlatego pozostali dziećmi, wrócili do rodziców zamiast rozpocząć własne życie).

Straszliwa Matka okazuje się więc niezbędna, jednak tylko pod jednym warunkiem: po zabiciu i pożarciu dziecka musi je obdarzyć nowym życiem.

W przypadku matki Jenette McCurdy straszne cechy rodzicielki ujawniły się z całą mocą, jednak zabrakło podstawowego elementu: wprowadzenia w dorosłość. Tytułowa mama nie chce, by córka dorosła, chce ją kontrolować,

KONTROWERSYJNA. PORUSZAJĄCA. SZCZERA.

Cieszę się, że moja  
mama umarła

Jennette  
McCurdy



Podziwiałki i Soko

przywiązywać do siebie wciąż na nowo w chorym uzależnieniu.

– *Masz tu ogień [...].*

– *Co mogę zrobić, żeby cycuszki przestały rosnąć? – powtarzam z większym naciskiem, widząc, jak bardzo ją to ucieszyło.*

*Mama spuszcza wzrok, jak zawsze, gdy chce wyznać mi coś w tajemnicy [...].*

– *No więc, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, jak zachować mały rozmiar, jest pewna rzecz... nazywa się deficyt kaloryczny.*

Co czyni Baba Jaga, gdy służąca jej Wasyliisa ukończyła już jej próby?

– *Natychmiast się stąd zabieraj [...]. Takich jak ty mi tu nie potrzeba!*

*Baba Jaga wyprowadziła Wasyliisę z izby i wypchnęła ją za bramę; zdjęła z płotu jedną czaszkę z gorejącymi oczyma i, zatknąwszy ją na kiju, wręczyła dziewczynie [...].*

Groźna matka nie tylko wypuszcza córkę w świat, ale nawet wyposaża ją na drogę, aby mogła sobie radzić w dorosłym życiu, równie groźna jak ona sama.



**Magdalena Wolff** – Słowianka, japonistka, wielbicielka mitologii wsze-lakich, autorka słowiańskiego cyklu Moc korzeni (*Kukułka i wrona, Szata z piór*). Jej ulubioną polską baśnią jest *Szklana góra*.



**Możesz w nią nie wierzyć,  
ale nie uda Ci się przed nią uciec!**

# PRZEPOWIEDNIA

Kontynuacja powieści okrzykniętej książką ADHD

# Opowiadanie „Branka” – epizod z wojny ammonicko- izraelskiej w czasach biblij- nych

Piotr Borowski

## 1.

Jechały na wozie drogą królewską. Niebo było bezchmurne, a na polach złociła się pszenica. Wóz poruszał się wolno, bo drogą maszerowali żołnierze. Safira niespokojnie patrzyła na jadących na osłach oficerów, których co jakiś czas mijali. Twarze miały zasłonięte, zarówno ona, jak i córki. Koła wozu toczyły się powoli, a ona miała czas myśleć wciąż na nowo, czy to był dobry pomysł.

Ucieczka na północ tą drogą była ryzykownym posunięciem. Król Nachasz oblegał Jabesz-Gilead właśnie na północy. Zwykle poruszali się po niej kupcy, ale teraz była pełna żołnierzy idących ze stolicy w Rabbie, aby dołączyć do oblegających Jabesz oddziałów. Safira wybrała właśnie ją, spodziewając się, że nikt nie wpadnie na pomysł, aby ich szukać wśród żołnierzy. Poza tym było już niedaleko do rozwidlenia. Szlak biegł ze stolicy w Rabbie Ammonickiej na północ aż do Damaszku. Za potokiem Jabbok od drogi królewskiej odchodziła na zachód odnoga prowadząca do Jabesz. Żołnierze pójdą do króla Nachasa, a one pojedą dalej w kierunku Damaszku. Gdyby nie tłok na drodze już dawno przejechaliby zarówno potok Jabbok jak i rozwidlenie prowadzące do Jabesz. Safira pogрузzyła się w swoich myślach.

– Mamo! Potok! – zawołała nagle Abigail, jej starsza córka.

Nadzieja wstąpiła w serce Safiry. To właśnie ze względu na córki zdecydowała się na ten krok. Jakies siedem lat temu porwano ją z rodzinnego domu. Ojciec i bracia zapewne wtedy zginęli. Prawdopodobnie matka też. Safira żyła wśród żon króla Nachasza i potem stała się jedną z nich. Król zapewniał jej mieszkanie, jedzenie oraz szaty. Dał jej też dwie córki, które były dla niej wszystkim.

Abigail zeskoczyła z wozu i pobiegła do wody, zanim Safira zdołała ją zatrzymać. Na szczęście wóz też stanął. Na drodze zrobił się zator. Abigail wzięła małą Ceruję na ręce i podążyła za starszą córką. Ta zdążyła już wejść do wody po kolana. Zdjęła zasłonę z twarzy i zaczęła pić. Safira szybko do niej podeszła i zasłoniła ją swoim ciałem przed wzrokiem żołnierzy na drodze. Później nabrała wody i dała pić także Ceruji. Ta, widząc starszą siostrę biegnącą po wodzie, zaczęła się wyrywać.

– Musimy jechać dalej. Wracajmy na wóz – krzyknęła Safira na Abigail.

Niestety przy wozie czekało ją rozczarowanie.

– Żołnierze rekwirują mi wóz – powiedział woźnica. – Będę musiał wozić wodę dla żołnierzy oblegających Jabesz.

– W takim razie oddaj mi połowę zapłaty – zażądała Safira.

– Ja nie zerwałem umowy. To nie zależy ode mnie – odpowiedział, a po chwili dodał: – Pani, poczekaj tu, jak skończę wozić wodę, to pojedziemy dalej.

– To możemy się dalej bawić – krzyknęła Abigail i pognęła do potoku, a za nią Ceruja.

Safira nie wiedziała, czy ma gonić córki, czy kłócić się z woźnicą. Co mogła zrobić? Przecież nie będzie się z nim szarpać o pieniądze. To zwróciłoby uwagę żołnierzy i ktoś mógłby je rozpoznać. Abigail przybiegła chwilę później, niosąc osiołkowi z ich wozu trochę wody w dłoniach.

– Żegnaj, mój kochany – powiedziała, patrząc w mądre oczy zwierzęcia – i wróć do nas szybko.

Safira usiadła i zaczęła się zastanawiać, co robić dalej. Raczej nie mogła iść z małymi dziećmi pieszo. Dowiedziała się, że od potoku do rozwidlenia drogi jest około dwie-trzy godziny drogi. Przy tym rozwidleniu było miasto Geraza. Tam miała na niego poczekać. Napełniła bukłak z wodą i dała córkom jedzenie, które zabrała ze sobą. Później poszły dalej. Słońce szybko wysuszyło szaty dziewczynek.

Uciekły z Rabby wcześniej rano, teraz, gdy docierały do Gerazy, było już południe. Ludzie podejrzliwie patrzyli na samotną kobietę z dziewczynkami. W Gerarze niestety nie było ani jednego wozu. Poza tym i tak nie miałyby jak zapłacić. Trzeba czekać, aż jej woźnica wróci.

## 2.

Z Gerazy wychodziły trzy drogi. Ta na południe prowadziła do Rabby, skąd Safira uciekała. Północna wiodła w jej rodzinne strony. Ona jednak poszła ku tej trzeciej, kierującej się na zachód do Jabesz. Przy drodze rósł olbrzymi cedr. Usiadły w jego cieniu i czekały. Słońce powoli zmierzało na zachód. Nie wiedząc kiedy, Safira usnęła. Obudził ją głos oficera.

– Pani, co tutaj robisz? Czy król ciebie oczekuje? Dlaczego podróżujesz z córkami króla?

Safira nie odpowiedziała, ale on na szczęście się nie dopytywał. Podeszedł do drogi, na której stał jego oddział wraz z taborami. Rzucił kilka rozkazów i zrobiono dla nich miejsce.

– Proszę, pani, zajmij miejsce na naszym wozie – powiedział uprzejmie.

Safira się zawahała. Co ona powie Nachaszowi? I jak on zareaguje na jej słowa? Pewnie zaraz wyśle posłańca do stolicy i dowie się, że uciekła. Czy będzie w stanie go przekonać, że jechała do niego?

Stała się jeszcze bardziej niespokojna. Słońce zachodziło i powoli zalegała ciemność. Jest szansa, że nie spotka woźnicy, a jeżeli nawet, to on raczej jej nie rozpozna w ciemności.



Gdy wjeżdżali do obozu, jej uwagę zwróciła grupa osób trzymanych pod strażą. Wszyscy mieli głowy obwiązane zakrwawionymi szmatami. Słychać było jęki i płacz. Kilka osób leżało bez ruchu.

– Mamo, nasz osiołek – krzyknęła Abigail, wskazując na grupę wozów stojącą zaraz obok.

– To ten woźnica cię zostawił, pani? – zapytał oficer i nie czekając na odpowiedź, kazał zatrzymać tabor. Abigail pobiegła pogłaskać osiołka, a Safira poczuła strach. Oficer podjechał do stojących wozów i zaczął krzyczeć na woźnicę. Ten padł na twarz i zaczął coś pośpiesznie tłumaczyć. Po chwili wrócił do taboru.

– On twierdzi, że jechałaś, pani, na północ, a nie do króla.

Spojrzała na nią podejrzliwie.

– Pójdiesz, pani, do tamtego namiotu. A wy – powiedział do dwóch żołnierzy – będziecie pilnować żony króla Nachasza. Mają nie opuszczać tego miejsca, aż król podejmie decyzję.

Safira weszła do namiotu załamana. Czy tak to się ma skończyć? Nachasz dowie się, że uciekła. Był okrutny. Szybka śmierć z jego ręki byłaby wybawieniem. Ona jednak chętnie poddałaby się torturom, gdyby to mogło zapewnić dalsze życie jej córkom. Wiele lat temu jej matka zrobiła dla niej wszystko.

Pamiętała ten dzień, gdy na Maakę napadli Geszuryci wspierani przez Nachasza, króla Ammonu. Jej bracia i ojciec poszli walczyć. Siły najeźdźców były przeważające. Safira miała wtedy piętnaście lat i bardzo się bała. Jej matka była jednak spokojna. Zabrała ją do swojej komnaty i zaczęła pięknie ubierać.

– Dzisiaj spotkasz swojego męża – powiedziała matka.

– Męża? Dzisiaj?

– Pamiętaj, aby się zachować godnie. Los branki nie jest łatwy. Pamiętaj też, że lepiej być żoną jednego męża i to bogatego, niż stać się kobietą dla żołnierzy. Bogaty zapewne będzie miał już kilka żon. One się tobą zaopiekują.

– Ale ja chcę, aby to ojciec wybrał mi męża.

– Twój ojciec nie jest ani lepszy, ani gorszy od tego, który zostanie twoim mężem – odparła matka i po chwili dodała: – Czy wiesz, kim ja jestem?

– Jesteś moją matką.

– Twój ojciec też mnie porwał. Moi rodzice... nigdy ich później nie widziałam... też chyba zginęli.

– Ale ty przecież kochałaś tatę.

– Po tylu latach wspólnego życia polubiłam go. Dał mi was, moje dzieci. Najważniejsze jest to, pamiętaj, ja to przeszłam i moje życie nie było wcale takie złe. Ty też dasz sobie radę.

Matka miała rację. Do ich domu wpadli Ammonici, bo Geszuryci ruszyli na pałac. Młode kobiety spędzono na plac. Safira się wyróżniała. Matka ubrała ją w swoją najpiękniejszą szatę. Umalowała jej oczy i usta. Przystroiła najpiękniejszymi klejnotami. Zainteresował się nią sam król Ammonu.

Co jednak ma zrobić teraz. Ją najpewniej czeka śmierć, ale jej córki są jeszcze takie małe. Abigail ma siedem lat, a Ceruja tylko trzy. Po jej śmierci dziewczynki trafią pewnie w ręce pierwszej żony, przed którą uciekała Safira. Czy Gareb będzie się mścić na jej córkach nawet po jej śmierci?

Na zewnątrz było ciemno. Na niebie nie było księżycy. Rozpoczął się nowy miesiąc. Z obozu dochodziły odgłosy libacji.

– Świątują zwycięstwo? – zapytała żołnierzy stojących przy wejściu.

– Już prawie – powiedział pierwszy.

– Mieszkańcy Jabesz-Gilead obiecali, że jutro się poddadzą, jeżeli nie przyjdzie pomoc.

– A nie przyjdzie?

– Kto miałby im pomóc? Od miesiący pustoszymy Gilead. Król kazał oślepić tysiące złapanych. Będą dla nas niewolnikami.

– Co wam przyjdzie ze ślepych niewolników?

– Król nie kazał ich oślepić całkowicie. Każdemu wybija się tylko prawe oko. Nie nadają się później do walki.

– To będą idealni niewolnicy – dodał drugi. – Oczywiście ci, którzy przeżyją, bo wielu umiera.

### 3.

Safira nie mogła zasnąć tej nocy. Dziewczynki ułożyły się w namiocie, a ona siedziała przy wejściu i czekała. Odgłosy libacji stały się głośniejsze, ale potem zaczęły cichnąć. Po obozie zaczęli krążyć pijani oficerowie, którzy starali się trafić do swoich namiotów.

Nachasz też na pewno jest pijany – pomyślała Safira. To znaczy, że wezwie ją pewnie dopiero po południu lub nawet wieczorem. Jeżeli jednak Jabesz-Gilead podda się jutro, to król będzie miał co innego na głowie. Później będzie na pewno kolejna libacja. Wydanie wyroku się przeciągało. Z jednej strony cieszyła się. Wciąż była z córkami. Z drugiej strony niepewność była gorsza od tego oczekiwania.

Jeden z żołnierzy siedział przed namiotem i nawet trochę pochrapał, ale drugi chodził, walcząc z sennością. Safirze też zaczęły zamykać się oczy. Po chwili spała obok córek.

– Co tu robisz? – usłyszała nagle lekko bełkotliwy głos.

Zerwała się na nogi i upadła przed królem.

– Przepraszam, panie, za uciążliwość i problemy, jakie sprawiam.

– Gdzie uciekałaś?

– Przepraszam, królu. Pierwsza żona chciała mnie zabić. Uznałam więc, że muszę, panie, ratować twoje córki. Myślałam, że ukryję je w rodzinnym mieście Maaka.

– Ty głupia kobieto. Nie ma już Maaki. Król Geszuru włączył ją do swoich posiadłości.

– Przepraszam, panie, jestem głupia i niczego nie wiem.

– Czemu niby Gareb miałyby chcieć cię zabić?

– Dowiedziałam się prawdy o jej synu.

– Masz na myśli mojego syna.

– To nie jest twój syn, królu, ona cię zdradziła.

– Kłamiesz! – wydarł się Nachasz i uderzył ją w twarz.

– Przepraszam, królu. Nie chciałam cię niepokoić i dlatego jechałam do Maaki.

– Twierdzisz, że mały Nachasz nie jest moim synem.

– Przepraszam, panie. Nie mam żadnych dowodów. Przepraszam. Mam tylko swoje słowo przeciwko słowu Gareb. Wiem, że to za mało.

Ceruja obudzona krzykami ojca zaczęła chlipać. Abigail przybiegła do matki.

– Ja mówiłam mamie, że do pani Gareb przychodził jakiś oficer. Potem mama powiedziała, że musimy uciekać.

Nachasz zamierzył się, aby uderzyć Abigail. Safira poderwała się z kolan i zasłoniła córkę. Uderzenie spadło na nią. Król był pijany, ale uderzenie i tak było celne. Safira poczuła krew w ustach. Nachasz sięgnął po miecz. Za nim stanęli dwaj strażnicy.

„Śmierć przyjdzie szybko” – pomyślała Safira i wtedy rozległy się okrzyki.

Nachasz obrócił się i wypadł z namiotu. Safira objęła obie dziewczynki. Na zewnątrz słychać było zamieszanie.

– Co się dzieje? – Usłyszała krzyk króla.

– Izraelici atakują od zachodu.

– Ilu ich jest? – dopytywał się, a jego głos zaczął oddalać się od namiotu.

Safira podeszła do wyjścia.

– Zajmij się siostrą – powiedziała do Abigail, a następnie wyjrzała.

Na zewnątrz było ciemno. Tylko blask ognisk dawał trochę światła. Obok namiotu przebiegali żołnierze. Kierowali się na zachód. Stamtąd też było słychać odgłosy walki. Przy namiocie nie było strażników. Czy to był dobry moment na ucieczkę? Lepszego nie będzie.

Safira wzięła Ceruję na ręce, a Abigail kazała się trzymać swojej szaty. Pobiegła w kierunku przeciwnym do odgłosów walki. Nie przebyła jednak nawet kilku kroków, gdy usłyszała, że także tam odbywa się walka. Co robić? Czyżby byli w okrążeniu? Słyszała walczących na

drodze na zachód, ale także przed sobą na wschód. Na północy było miasto Jabesz. Safira pobiegła więc na południe w kierunku potoku Jabbok. Wpadła jednak na grupę żołnierzy z pochodniami. W ciemności nie mogła rozpoznać, kim byli. Ceruja zaczęła płakać.

– Stój, kobieto! – krzyknął jeden z nich.

Safira nigdy nie słyszała języka Izraelitów. Był podobny do aramejskiego. Wprawdzie rozumiała wszystko, ale słyszała różnicę w wymowie. Oni ją też rozpoznają, gdy się odezwie. Będą wiedzieli, kim jest. Czy uciekła przed Nachaszem tylko po to, aby zginąć z ręki Izraelitów?

– Kim jesteś? – Usłyszała pytanie tego samego wojownika.

– Jesse, uważaj! Ktoś za nią biegnie – krzyknął nagle drugi wojownik z pochodnią.

Safira usłyszała za sobą odgłos biegnących mężczyzn.

– Saul! – krzyknął pierwszy Izraelita, którego towarzysz nazwał Jesse. Nie było odzewu.

– To Ammonici – zawołał ten drugi. – Nie znają odpowiedzi.

– Do mnie! – usłyszała za sobą Safira. Od razu rozpoznała głos męża.

Biegł, posapując, a wraz z nim biegło kilku żołnierzy ammonickich. Izraelici rzucili kilka pochodni w ich kierunku. Oświetliły one zbliżających się Ammonitów. Safira przypadła z dziewczynkami do ziemi. Znalazła się w środku potyczki.

Do Nachasza podbiegł jeden z Izraelitów, ale zaraz zginął przebity mieczem. Ammonici i Izraelici byli uzbrojeni we włócznie. Tylko król Nachasz miał miecz.



**Piotr Borowski** – programista i historyk. Od 17 lat mieszkający w Wielkiej Brytanii. W wolnym czasie uczy dzieci Polaków historii. Tworzy podcasty, między innymi: *Historia wg Dzieci* oraz *Historie Biblijne*. Uwielbia wymyślać to, czego nie mówi historia i tworzyć powieści historyczne.

Mimo tuszy dobrze się nim posługiwał. Sytuacja wydawała się patowa. Siły były dość wyrównane. Jednak czas działał na korzyść Izraelitów. W pewnej chwili Nachasz, słysząc odgłosy walki za plecami, obrócił się. Wtedy Jesse rzucił włócznię i przebił go. Kilku Ammonitów podbiegło do króla, ale widząc śmiertelną ranę rozbiegli się.

– Piękny rzut, Jesse – powiedział drugi Izraelita.

Jesse nie odpowiedział, ale podszedł do umierającego Nachasza.

– Dam ci srebro, ale zostaw mnie – wycharczał umierający król.

Jesse podniósł miecz i po chwili było po wszystkim.

– Kto to był? Król Ammonitów? – zapytał stojącą obok Safirę.

– Zabiłeś Nachasza. Jesteś dzielnym wojownikiem. Ja i moje córki jesteśmy twoimi niewolnicami.

– Nie chcę Ammonitki jako branki.

– Nie jestem Ammonitką. Pochodzę z Maaki.

Nagle usłyszeli tupot stóp kolejnych żołnierzy.

– Saul – krzyknął ponownie Jesse.

– Samuel – padła odpowiedź.

Na czele tej grupy biegł wysoki wojownik. Jesse skłonił się przed nim.

– Królu, tu leży twój wróg. Nachasz nie żyje. Uratowałeś Jabesz-Gilead.

– Kim jest ta kobieta? – zapytał król Saul.

– To kobieta z tego obozu – zaczął Jesse, ale Saul już go nie słuchał.

– Pokaż ten miecz!

– Proszę, królu, to miecz Nachasza. Jest twój, panie.

– Kobietę możesz sobie zatrzymać – odpowiedział Saul i odszedł. Safira przypadła mu do stóp.

– Proszę, panie, weź mnie i moje córki. Będziemy ci służyć. Będziemy pracować. Proszę, nie rozdzielaj nas.

– On nie potrzebuje żony – powiedział drugi Izraelita.

– Zostaw je, Szafan – powiedział Jesse, a potem odpowiedział Safirze: – Jeżeli tego naprawdę chcesz.

– Tak, proszę, panie.

– Mówiłaś, że nie jesteś Ammonitką. Nie chcesz wrócić do swoich? My tu nie przyszliśmy, aby zdobywać, ale pomóc napadniętym. Przyszliśmy oswobodzić Jabesz-Gilead.

– Mojego kraju już nie ma, a do Rabby Ammonickiej nie chcę wracać. Tam czeka mnie śmierć.

– Jeżeli naprawdę chcesz do nas przystać, będziesz musiała przyjąć nasze zwyczaje.

– Tak, panie.

– Chodźmy do obozu. Jutro odeślę was do mojego domu.

– Dziękuję, panie.

– Gdzie będziemy mieszkać? – zapytała mała Abigail.

– W Betlejem.



# Co szepczą wilki w skalnym plesie? – recenzja historii miłosnej autorstwa Aliny Duchnowskiej

Patrycja Prusak

*Wilcze szept* Aliny Duchnowskiej miały swoją premierę 15 czerwca i jest to jej kolejna propozycja dla czytelników po dobrze zapowiadającym się cyklu *Klan Smoka*. Autorka debiutowała w kręgu opowieści fantasy i jej serce jak na razie tam pozostało. W *Wilczych Szeptach* jest również dużo elementów charakterystycznych dla fantastyki, ale tym razem, jak sama autorka podkreśla, jest to pozycja z rodzaju *paranormal romance* z elementami kryminału – mieszanka wręcz wybuchowa. Czy Alinie udało się połączyć te wszystkie puzzle tak, aby wyszła z tego dobra powieść? Przekonajmy się!

Przygoda Liki, głównej bohaterki *Wilczych szeptów*, zaczyna się, gdy wraz z grupą przyjaciół i swoim chłopakiem Jensem przyjeżdżają na wakacje do Doliny Skalnego Plesa. Wynajmują pokoje u Fena Tamaly'ego, gospodarza farmy prowadzącego agroturystykę wśród gór i dzikiej tajgi, mając nadzieję przeżyć tam wiele niezwykłych przygód. Niestety już pierwszego wieczoru

grupa jest świadkiem krwawego ataku gryst – watahy wilków – na obiekt turystyczny. Z odsieczą przybywa tajemniczy Wilczy Lud, który uzbrojony w łuki i strzały powstrzymuje rzeź na turystach. W chaosie walki i ucieczki Lika poznaje przywódcę myśliwych Hansena. I tutaj zaczyna się cała szalona historia!

Wróćmy jednak na chwilę do samej bohaterki. Lika jest bardzo zakompleksioną, nieświadomą własnych wartości ani zalet dziewczyną. To, jak o sobie mówi, jak postrzegają ją jej przyjaciele oraz własny chłopak, rysuje sylwetkę małej, głupiutkiej rudowłosej dziewczynki, która zaczytana w świecie fikcji i wydarzeń paranormalnych nie ma pojęcia o poważnych, „dorosłych” sprawach. Ponadto Lika uważa się za brzydkie kaczątko, które nie zasługuje na przystojnego i zabawnego chłopaka. Bardzo szybko dowiadujemy się, jak wygląda relacja Liki z Jensem. A jak się możemy domyślić, wygląda źle. Lika w obawie przed odrzuce-



niem i samotnością tkwi w toksycznym związku, w którym jest poniżana i wykorzystywana przez swojego wybranika. Autorka bardzo ładnie ukazała sytuacje manipulacji oraz to, w jaki sposób myślą ofiary i ich oprawcy. Niejedna kobieta, czytając książkę pomyśli „Lika! Jak możesz mu na to pozwalać?!”. Co najciekawsze, chociaż sama bohaterka jest świadoma złego traktowania przez chłopaka, to w swoim błyskotliwym i pokrętnym rozumowaniu całą winą za jego zachowanie obarcza siebie. Jest to typowe u takich osób i autorka bardzo sprawnie to podkreśliła.

Drugim głównym bohaterem jest Hansen, a dla przyjaciół i rodziny: Wilk. Jest



przywódcą myśliwych polujących na grysty oraz opiekunem terenów skalnego plesa. Pojawia się nagle i pomaga Lika uciec przed bestiami. Samotny, ze złamanym sercem po utracie ukochanej bardzo szybko otacza bohaterkę opiekuńczym kokonem. Jest dla niej miły, troskliwy, dba o jej samopoczucie. Nietrudno, aby Lika nagle poczuła się zauważona i doceniona, co skutkuje pojawieniem się pierwszego zauroczenia. Uważam, że śledzenie rozwoju tej relacji jest bardzo interesujące. Wszystko dlatego, że uczucie, które rodzi się w tak ekstremalnych warunkach, gdy bohaterowie muszą walczyć o życie, zawsze jest lekko zakrzywione. Znając dodatkowo sylwetkę bohaterki i to jakie ma problemy z samoakceptacją, możemy się tylko domyślać, w którą stronę rozwinie się ta relacja.

Autorka jednak nie przewidziała dla bohaterki łatwej przeprawy. Lika zostaje porwana, a doświadczenia, które przeżyje jako zakładniczka, zmienią jej punkt widzenia. Gdy główna bohaterka znika na kilkanaście stron w książce, możemy przypatrzeć się jej rodzicom, którzy zaniepokojeni brakiem kontaktu z córką, przyjeżdżają do skalnego plesa. To kolejna bardzo interesująca obserwacja, którą autorka poprowadziła w kapitalny sposób. Dlaczego w naszej głównej bohaterce tak mało wiary w siebie? Tyle kompleksów? Odpowiedź dostajemy na tacy: to

środowisko, w którym Lika dorastała, sprawiło, że wypracowała taką własność opinii o sobie. Relacja głównej bohaterki z matką jest trudna i dla wielu czytelników może okazać się znana, gdyż psychologiczny model, do którego można zaliczyć jej rodzicielkę, jest dość powszechny. Dzięki ukazaniu więzi emocjonalnej między nimi można wyciągnąć kilka ciekawych wniosków na temat kolejnych decyzji Liki.

Wróćmy jednak do fabuły, skoro jest to *paranormal romance* to skupmy się na chwilę na kilku ciekawych elementach. Wiadomo, że Lika jest fanką historii o UFO i wydarzeń paranormalnych. Dlatego tak łatwo jej było wejść do świata, gdzie można spotkać Wielką Stopę, ujrzeć na niebie niebieskie światła, które kojarzą nam się z wprowadzeniami przez obcych lub zaakceptować księżę czarów, wiedźmę czy też wilkołaki. Gdy bohaterka staje twarzą w twarz z takimi odkryciami, zachowuje wręcz nienaturalne zrozumienie i spokój. Bierze wszystko za fakt, nie podważając swojej logiki ani stanu psychicznego.

Pomimo że autorka opowiada historię Liki i Wilka, płynnie zostawia nam również pewne wątki otwarte, niewyjaśnione. Jednym z nich i takim niezaspokojonym jest sam proces pojawiania się gryst w lesie. Bohaterowie nie poszukują na to odpowiedzi, ponieważ w danej chwili są rzeczy dla nich

ważniejsze. Jest to porwanie Liki oraz zakłęcie, którym zostaje niespodziewanie spętana główna bohaterka. Wilk, poszukując ratunku dla swojej rudowłosej piękności, doznaje przerażającego odkrycia, które zaważy na dalszej relacji dwojga bohaterów.

I teraz dochodzimy do finału, który dla mnie był dość oczywisty ale przerażający! (Tak, wciąż mówimy o książce typu „wakacyjny romans”.) Autorka już w *Klanie smoka* pokazała, że tematy przemocy seksualnej nie są dla niej obce. Nie unika poruszania ważnych spraw w swojej twórczości i nie boi się pokazywać straszliwej prawdy skrytej za maską delikatnych metafor oraz w postaci pięknej romantycznej historii. To co jest na pierwszy rzut oka piękne, szlachetne oraz romantyczne, w rzeczywistości ma ciemną stronę. Relacja głównych bohaterów jest wątpliwa i niepokojąca – jak sami spekulują. Dlaczego pojawia się we mnie ten zgrzyt? Dlaczego ja nie uwierzyłam w tę miłość tak mocno jak Lika? Być może jako czytelniczka widziałam całą historię z góry, bez różowych okularów zakrzywiających rzeczywistość. Bo gdy spojrzymy na relację Liki i Wilka możemy się przekonać, że jest ona postawiona na bardzo złej podstawie: na poświęceniu i odrzuceniu własnych potrzeb.

Książka *Wilcze szept* to romans o prostej fabule bez większych wątków pobocznych. Historia toczy się jedną ścieżką, dlatego też możemy skupić się na psychologicznej części tej przygody. Autorka ma bardzo przyjemny styl, co sprawia, że płyniemy z nurtem historii i nie zacinamy się w środku. Książkę można pochłoniąć na raz, jednak polecam rozłożyć ją na kilka posiedzeń, aby bardziej włąbić się w tragizm bohaterki. Minusem w książce są poboczni bohaterowie, którzy dla mnie byli jedynie tłem. Wydaje mi się, że ze względu na mało wyraziste charaktery i czasami niezrozumiałe zachowanie byli lekko sztuczni. Na tle dobrze zarysowanych głównych postaci wydawali się dość płacy. Nie ma wielu scen z nimi, więc książka na tym nie traci. Dużym za to atutem są przyjemne opisy scenerii, w której poruszają się bohaterowie. Autorka zbudowała ciekawy świat bliiski pięknym terenom Kanady. Czuć w książce taką pierwotną dzikość, która cudownie wpasowuje się w fabułę, a pomysł na zakłęcie więdźmy jest tego dowodem. Kolejny plus to przyjemne opisy scen erotycznych, gdzie nie pojawia się wulgarność. Ja bardzo cenię autorów za takie zabiegi, gdyż bardzo łatwo można na pozór romantyczną scenę przekształcić w coś śmiesznego lub wręcz niesmacznego. No i najważniejszy aspekt: książka skłania do prze-

myśleń. Czy motywacje bohaterów były słuszne? Czy oni sami je rozumieli? Czy decyzje Liki były dla niej korzystne, czy ślepo pognęła za niejasnym dla niej uczuciem? Czy Wilk był w porządku wobec dziewczyny?

Na te wszystkie i inne pytania można sobie odpowiedzieć samemu. Każdy z nas tę historię zobaczy inaczej. Każdy ma inne doświadczenia, odczucia i swój własny pogląd na świat. Jedni ujrzą piękną miłość a drudzy tragizm bohaterów.

Czy zatem autorka poradziła sobie z taką mieszaniną i powstała dobra historia? Zdecydowanie tak!



**Patrycja Prusak** - pisarka z zamiłowania. Autorka cyklu fantasy: *Opo-wieść o Morriam*, w którym ukazały się dwa tomy: *Głód potępionych* i *Utraconą iskra*.

[patrycjaprusak.pl](http://patrycjaprusak.pl)

# Screenshot na uspokojenie

Michał Krawczyk

Zajrzałem do swojego telefonu i zobaczyłem statystyki. Okazało się, że w aparacie mam zapisanych 18 059 zdjęć i 2 732 filmów wideo. Przewinąłem część tych materiałów i w pierwszej chwili, gdy zobaczyłem ogromną ilość selfie, nawet nie byłem zdziwiony. Najwięcej wykonanych z bardzo złej perspektywy. Od razu je zaznaczyłem, przeniósłem do kosza i z 18 059 zdjęć zrobiło się 11 000.

Potem zauważyłem relacje ze spotkań towarzyskich, które zawsze są pięknymi wspomnieniami, nawet jeśli ludzie z tych fotografii nie są już razem. Znalazłem ujęcia z moich wycieczek do Trójmiasta i od razu obudziła się we mnie potrzeba, aby odwiedzić Pomorze. W moim przypadku leżenie na plaży nie wchodzi w grę, ale chętnie pospacerowałbym po Ogrodzie Oliwskim, a promieniami słońca nasyciłbym się nad Motławą.

Jednak najbardziej wśród zapisanych w telefonie materiałów zastanowiły mnie screeny, czyli zrzuty ekranu z tytułami artykułów do przeczytania, dalej z okładkami książek do kupienia, z tytułami filmów do obejrzenia czy interesujących podcastów. Były też screeny z linkami do konferencji, których nie byłam

w stanie obejrzeć w terminie, screen spotkania autorskiego (niejednego!), który rozpoczął się dokładnie wtedy, kiedy pracowałem, screeny zapowiedzi wywiadów na różnych kanałach w internecie oraz tytuły licznych audycji radiowych do odsłuchania. Okazało się, że duuużo, oj dużo mam do nadrobienia.

I tutaj zaczyna się problem, bo nie lubię mieć czegoś do nadrobienia, więc zacząłem zastanawiać się, jak to jest z tym moim czasem, skoro naprodukowałem tyle zaległości?

Uważam, że nie najgorzej. Oczywiście dużo pracuję zawodowo. Realizuję kilka zadań naraz, ale przy tym wszystkim potrafię odpoczywać. *Work-life balance* – tak, wdrażam tę zasadę w życie, a z leniuchowaniem jest mi bardzo po drodze. Mimo pracy śledzę bieżące wydarzenia. Staram się oglądać programy informacyjne. Czytam. Słucham. Oglądam. Jednak zauważyłem, że tych treści zrobiło się tak dużo, że najwyraźniej w świecie nie jestem w stanie przez nie wszystkie przebrnąć i to mimo ogromnej ciekawości.

Staram się na bieżąco śledzić spotkania autorskie online. Każdego dnia w internecie goszczą ciekawi autorzy, którzy opowiadają o swojej twórczości. Często

sytuacja wygląda tak, że jedno spotkanie autorskie rozpoczyna się o godzinie 17:00 i już w jego trakcie dostaję powiadomienie, że o 18:00 startuje kolejne, na które zapisałem się kilka dni wcześniej. Dalej mam zapytanie, czy potwierdzam swój udział w spotkaniu autorskim, którego start przewidziany jest na godzinę 19:00. Jasne, że potwierdzam, mimo że wzywają mnie obowiązki domowe, a SMS-y przypominają, że jeśli nie odbiorę paczki z paczkomatu, to wróci do oddziału. Więc szybko robię screen ekranu, bo to pierwsze, co przychodzi mi do głowy. Takim sposobem tworzę zaległości. W międzyczasie dzwoni mama, potem przyjaciele, aby zapytać, czy już wiem. Akurat nie wiem, bo jeszcze nie zdążyłem zajrzeć na strony informacyjne. Następnie słyszę narzekania znajomych, którzy chcieliby porozmawiać ze mną o topowych serialach na Netflixie, a ja nie mam nic do powiedzenia, bo jeszcze niczego nie widziałem.

Kiedy byłem dzieckiem, wszystko toczyło się spokojnie, a czas nawet się dłużył. Z uważnością przyglądałem się światu. Teraz wszystko expressesem gna do przodu. Wykonuję screeny, aby selekcjonować to, co dla mnie ważne. Zapisuję, aby pamiętać i nadrobić w przeszłości, bo aktualnie jest tego tak dużo,

że jako widz, słuchacz i obserwator nie nadążam. Screeny mnie uspokajają, ale potem, podczas oglądania ich, jestem niespokojny, że znowu nie mam czasu nadgonić. „I w koło Macieju!” – jak to mawiała moja babcia.

Jednak cały czas mam z tyłu głowy, że za 37 lat osiągnę wiek emerytalny i wtedy do tych screenów zajrzę. Będę bujać się w fotelu, pić herbatę i nadrabiać.

Przedemną jeszcze 37 lat zbierania materiałów. Poczieszające, prawda?



**Michał Krawczyk** – na rynku wydawniczym pojawił się w 2021 roku. Tworzy powieści i opowiadania. Głównie komedie, aby dostarczyć czytelnikom dawkę humoru. Jego debiut literacki *PRZYPADEK? NIE SĄDZĘ!* będzie ekranizowany, czym Michał spełni jedno ze swoich marzeń.

# Pokochaj redaktora – odcinek 2

Janusz Muzyczyszyn

*Ratunku! Dostałem tekst po składzie i okazuje się, że cytaty są niewyróżnione, wszystkie słowa, które były kursywą, są nagle proste, a w poniedziałek muszę wysłać tekst do drukarni. Pomóżcie!!*

Ile razy słyszałem lub czytałem taki lub podobny tekst, to już nie zliczę. Dlaczego tak się dzieje? Co jest przyczyną? Czy składacz jest taki beznadziejny i wszystko popsuł?

Otóż przyczyna jest inna, drodzy autorzy, i na dodatek trywialna.

Gdy macie już gotowy, wypieszczony i wychuchany tekst (po redakcji i korekcie) i szczęśliwi chcecie wysłać go do składu, to upewnijcie się najpierw, czy redaktor Wasz tekst poprawnie ostylował. Bo jeśli nie, to... czeka Was mozolna korekta składu, a czas ucieka.

O co tu chodzi?

Na ogół skład tekstu robi się w programie inDesigner. Składacz zaciąga tekst z pliku w Wordzie czy LibreOffice razem ze stylami. Jeśli tekst nie był poprawnie ostylowany, to mało który składacz będzie pracowicie porównywał literka po literce oryginał ze składem. To nie jest jego zadanie. Zatem:

- Wymagaj od swojego redaktora, by prawidłowo ostylował Twój tekst. Jak to się robi? Oj, to temat na długą opowieść.

- Poświęć czas (a czasem i pieniądze) i wykonaj (lub zleć) szczegółową korektę złożonego tekstu. Im lepiej była zrobiona praca z p. 1. powyżej, tym mniej roboty będziesz mieć teraz.

A na koniec „pocieszająca” informacja. Jeśli sądzicie, że po starannym wykonaniu tych wszystkich zabiegów równie starannie wydrukowana książka będzie bezbłędna, to jesteście w grubym błędzie. Nikt nie jest nieomylny, a te wszystkie zabiegi (redakcja i dwie korekty) służą tylko i aż temu, by ilość błędów w tekście zminimalizować prawie do zera. Ale tylko prawie.

Tym razem tyle.



Jeśli macie do mnie pytania czy uwagi, piszcie na adres [janusz@muzyczyszyn.pl](mailto:janusz@muzyczyszyn.pl)

# Słowo dali

## REDAKTOR NACZELNY

**Mateusz R.M. Rogalski** – autor powieści fantasy *Obroncy Ahury* i bajki *Zamki i Roboty*. Prezes Polskiego Stowarzyszenia Autorów Niezależnych „Samowydawcy”, redaktor antologii *Własna ścieżka* i *Ślady na śniegu* i *Opowieści przy ognisku*.

## ZASTĘPCZYNI REDAKTORA NACZELNEGO

**Monika Litwinow** - kynoterapeutka, bajkoterapeutka, instruktorka jogi dla dzieci, autorka powieści kryminalnych *Za lasami* i *W gaju*, Redaktorka Naczelna czasopisma „Zajęcia z Psem”, właścicielka Centrum Terapii i Edukacji BAJARNIA.

W „Daję Słowo” odpowiada za:

- Słowo osobiste
- Gra Słów

**Izabela Redesiuk** – optymistycznie nastawiona do świata kobieta z zamiłowaniem do tworzenia nowych światów i historii. Autorka powieści *Przepowiednia*.

W „Daję Słowo” odpowiada za:

- Wystawione
- Odmierzone słowami
- Innymi słowy

**Klaudia Sypniewska** – projektantka logotypu czasopisma. Mieszka w internecie. Na co dzień tworzy content i działa jako social media manager. Tworzy, kreuje, projektuje. Jej pies Antek ponoć ma z nią za dobrze, ale jak sama mówi, cóż począć, skoro kocha psy.

**Anna Strzelczyk-Cichosz** – autorka książki fantasy pt. *Ziemia winowajców* oraz prawdziwy człowiek orkiestra.

W „Daję Słowo” odpowiada za:

- Dosłownie
- Schwytni za słowo

**Magdalena Gumowska** – z zawodu optometrystka, prywatnie twórczyni projektu podróżniczego *Dobrze Pojechane*, coraz częściej zajmuje się oprawą graficzną książek. Interesuje się zagadkami kosmosu.

W „Daję Słowo” odpowiada za:

- skład i łamanie
- oprawę graficzną

[mag.gumowska@gmail.com](mailto:mag.gumowska@gmail.com)

**D.B. Foryś** – z wykształcenia programista i grafik, redaktor po godzinach, pisarz z zamiłowania. Zadebiutowała cyklem powieści *Tessa Brown*.

W „Daję Słówko” odpowiada za:

- projekt okładki.

[www.dbforys.pl](http://www.dbforys.pl)

## REDAKCJA

**Janusz Muzyczyszyn** – poeta, pisarz i redaktor. Pisze od sześciu lat i przez ten czas wydał trzy tomiki wierszy i trzy powieści obyczajowe, prowadzi również bloga.

W „Daję Słowo” odpowiada za:

- Słownik Autorów

- Słowa dobrane

## KOREKTA I REDAKCJA POD NADZOREM JANUSZA MUZYCZYSZYNA

**Jagoda Biskont** – absolwentka Akademii korekty tekstu. Z wykształcenia archeolog. Wykonuje redakcję i korektę tekstów przeznaczonych do publikacji.

[www.kropkajagodabiskont.pl](http://www.kropkajagodabiskont.pl)

**Katarzyna Mróz-Jaskuła** – od wielu lat związana z branżą wydawniczą. Od dwóch lat prowadzi własne studio graficzne Wielogłoska. Zajmuje się projektowaniem, składem, korektą i przygotowaniem do druku książek.

[www.wielogloska.pl](http://www.wielogloska.pl)

**Alicja Szalska-Radomska** – redaktorka, korektorka i recenzentka. Uzależniona od literatury, filmu i gier. Zaczytuje się w bajkach, komediach i fantastyce.

[alicja@pracowniamuz.pl](mailto:alicja@pracowniamuz.pl)

**Anna Michalik-Czarnecka** – mgr filologii polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. Miłośniczka książek, zwłaszcza literatury okresu XIX i XX wieku oraz poezji. Prowadzi swój bookstagram na IG [@aniaiaiksziazki](https://www.instagram.com/aniaiaiksziazki), wykonuje korekty tekstów.

**Edyta Patrzałek** – absolwentka pisarstwa, na co dzień dbająca o przejrzystość tekstów innych jako redaktorka i korektorka. Od niedawna rozwija własną markę – BezBłędnie. W 2022 roku debiutowała opowiadaniem w antologii *Bizarny Szczecin* (wyd. Granda).

## PATRONAT MEDIALNY:

